Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 14 lutego 1937 r.* Nr. 7

ŚNIEGI

Śniegi puszyste zawiały drogę
zgubiony wszelki ślad —
odnaleźć ścieżki prostej nie mogę
śniegi puszyste zawiały drogę.
— Panie, ja błądzę i czuję trwogę,
połóż przed stopy latarni kwiat,
błądzę — wyprostuj Ty moją drogę —
zgubiłem ścieżki ślad.

S. K.



PUSZYSTE

WOJCIECH HOLM

19)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Ożywiona nagłą nadzieją, spytała: nieśmiało:

— Czy chcesz dziś znowu ze mną iść na obiad? Ja już mogę wychodzić.

— Przykro mi, że właśnie na dziś zamówiony jestem gdzie indziej — odrzekł Leon chłodno, nie tłumacząc się już bliżej.

Hortensja zasmucona, spuściła główkę.

Pocałował ją w czoło na pożegnanie i wyszedł, zostawiając śmiertelnie smutną.

Zaledwie zamknęły się za nim drzwi, łzy strumieniem puściły się jej z oczu.

Załamała ręce i prosiła Boga o pomoc.

Taka młoda i piękna, a taka nieszczęśliwa.

Sama jedna na całym Bożym świecie.

O, biedna Hortensjo! Byłoby ci lepiej, żeby i ciebie fale porwały, nim poznałaś życie i jego cierpienia.

ROZDZIAŁ LXII.

Trawiący ogień

Leon wyszedłszy z domu, spojrzał na zegarek i zdziwił się niemile, że dopiero południe.

A więc jeszcze ośm długich godzin, zanim może się pokazać u baronowej.

Nie mógł się doczekać wieczora.

Aby spędzić czas, ułożył sobie, czym skrócić czekanie.

W restauracji zjadł skromny obiad, bez apetytu ,mimo że od rana nic nie jadł.

Przerzucał naturalnie gazety i pisma zdawało mu się, że Bóg wie, jak długo tu siedzi.

Wściekły był, spostrzegłszy, że upłynęło dopiero pół godziny i że musi jeszcze zostać.

Czytał dalej, nic nie rozumiejąc i aż tak się zdenerwował, że nie mógł dłużej usiedzieć.

Zapłacił i wyszedł prędko, jakby się obawiał spóźnienia.

Na ulicy jednak opamiętał się i wlókł się powoli po Praterze, daremnie upatrując w przejeżdżających powozach baronową Wimpfen.

Z tęsknotą czekał na wieczór i wraz zapadającym zmrokiem wpadało mu w duszę czarujące jakieś oszołomienie...

U pierwszorzędnego fryzjera kazał się uczesać, oczyścić przybrudzone ubranie, wyperfumował sobie chusteczkę i udał się do salonu baronowej.

Przed tym jeszcze kazał sobie sporządzić w kwiaciarni kosztowny bukiet, za który zapłacił sporą część swej gotówki, ale nic się tym nie martwił

Wreszcie z bijącym sercem udał się do baronowej Wimpfen.

Ręka drżała mu tak, że nie mógł nawet od razu zadzwonić..

Po dobrej chwili dopiero zmusił się do zupełnego spokoju i zadzwonił.

Jan zdjął mu zarzutkę, Franciszek zaś donośnie anonsował:



Zabawny obrazek zimowy z Holandii.

— Pan doktor Leon von Waldau.

Leon nieśmiało wszedł do pokoju i zmniejszenie jego urosło, gdy baronowa jaśniejąc pięknością, wyszła naprzeciw niemu.

Dla niego jednak wystroiła się, jak gdyby na bal u siebie.

Jedwabna i haftowana suknia, kryła jej wdzięki, ramiona i szyja były wolne, mimo, że okryła je cienką koronką.

W ciemnych włosach błyszczały tu i ówdzie jak rosa małe diamenty.

Z ujmującym uśmiechem wyciągnęła do gościa swe białe ręce.

— Jak to ładnie, że pan już jest wreszcie — mówiła tonem, który mu wzburzył krew w żyłach — a te piękne kwiaty, to dla mnie?

Leon z ukłonem oddał jej kwiaty.

Wściekły był sam na siebie, że tak zgłupiał, że nie mógł wymówić słowa.

— Pozwoli pani baronowa — wyjąkał wreszcie — że w tych kwiatach ucieleśnię moje uwielbienie.

— Ach, jakie cudne — zawołała, ale dość obojętnie położyła je na etażerce, nie zwracając już na nie uwagi.

Zasiadła z gościem do herbaty. Lokaj wniósł srebrny czajnik, a ona z wdziękiem nalewała herbatę. Leon wodził za nią gorącym spojrzeniem.

— Stasię posłałam do teatru — opowiadała baronowa — bo ona lubi mnie podglądać. Oka ze mnie nie spuszcza przez cały dzień, jak detektyw.

Śmiała się z własnego dowcipu, a on z nią, tylko jego śmiech był nieszczery i wymuszony.

— Proszę — oto herbata — gawędziła Lola — tu ciasta, albo co pan pozwoli. Te ostrygi są wcale znośne. A teraz, niech pan opowie, co pan robił przez cały dzień.

— Czekałem wieczora! — znacząco odrzekł Leon.

W następnej chwili przestraszył się swej śmiałości, obawiając, że baronowa obrazi się.

Ale ona pogroziła mu tylko filuternie wachlarzem.

— Tak jest — mówił ośmielony tym Leon — rzeczywiście, przez cały dzień myślałem tylko o pani baronowej.

— Nie znudził się pan? — wyzywała go Lola.

— O, gdybym przez cały dzień z sobą tylko miał do czynienia, umarłbym z nudów — zapewniał Leon — Bogu dzięki, że prócz mnie są ludzie.

Śmiała się pusto, ale rzuciła mu spojrzenie mówiące wyraźnie, jak przyjemnie jej było to słyszeć, że myślał o niej.

Leon nagle uczuł odwagę i pewność zwycięstwa, tęsknotę i pragnienie ucałowania pięknych rąk i ust tej kobiety, a pragnienie to wydało mu się już nie tak trudnym do urzeczywistnienia.

Zdawało mu się, że już tylko rękę ma wyciągnąć po ten wspaniały owoc.

Siedział więc jak na węglach, odpowiadał na jej swobodne gawędzenie z roztargnieniem, ledwie tknął jadła i napoju, lecz za to pożerał ją oczyma.

— Nic pan wprawdzie nie jadł — rzekła gospodyni — ale widzę, że pan nie ma apetytu. Chodźmy do buduaru, może tam lepiej dotrzyma mi pan towarzystwa, bo dotychczas ja pana musiałam bawić

Zawisła na jego ramieniu i weszła z nim do buduaru.

Przepyszny ten kącik oświecał wspaniały świecznik.

Lola siadła na niskiej otomanie i skinęła mu, by siadł przy niej.

— Pokażę panu album — rzekła, biorąc ze stołu i otwierając go.

On zrazu patrzył roztargniony, potem prędko, z ciekawością wzrastającą przewracał kartki, bo były tam same fotografie baronowej, w coraz to innych pozach i kostiumach.

— O, pani baronowo! — zawołał — ten album tak mnie zachwyca, że morderstwo bym popełnił by go posiąść!

— Pochlebca — szepnęła baronowa, a gorący oddech jej musnął mu twarz — dlaczego pan w słowach tylko jest śmiały; czy nie czyta w oczach moich odpowiedzi na to?

Pochyliła się ku niemu i patrzyła nań z ogniem namiętności w oczach.

Ogień ten udzielił się Leonowi.

Zapominając o wszystkim, porwał ją w objęcia. W tejże chwili jakby cudem jakimś zgasło światło świecznika.

Zmrok panował w buduarze, dwoje miękkich ramion oplotły szyję Leona, a usta gorące przylgnęły do ust jego i zdawało mu się, że jest w raju.

ROZDZIAŁ LXV

Stasia intryguje

Panna Anastazja dostała wprawdzie pozwolenie pójścia do loży pani baronowej, ale postanowiła nie korzystać z tego.

Dawano rzecz klasyczną, na której się nie rozumiała, lubiła tylko farsę i operetki, powtóre chciała iść do przyjaciółki i poskarżyć się trochę na swoją panią.

Nie zdradzała się jednak z tym i podziękowawszy pokornie baronowej, przed wieczorem wyszła z domu.

Idąc swobodnie po ulicach, napotkała na młodzieńca, który tak pędził, że niemal jej nie przewrócił.

Z gniewem obejrzała się, by zbesztać młodziana, gdy jednak zobaczyła go lepiej, zawołała:

— Jezu! to Poldek!

— Stasia? — odpowiedział zdziwiony, ale nie bardzo uradowany młodzieniec.

Anastazja pytała kuzyna Leopolda Steina o różne rzeczy i przypatrywała mu się, bo go dawno już nie widziała.

— Poldek — rzekł, a nagle, widząc jego studencką czapkę — mógłbyś mi wyrządzić przysługę?

— Właśnie to samo chciałem ci powiedzieć — odparł prędko Stein.

— Na to wzajemnie sobie powiemy i może wzajemnie pomożemy — rzekła Stasia. — Czegoż chcesz ode mnie?

— Jestem w takim marnym położeniu, że przenicowawszy się, nie znalazłbym centa, a co najgorsze, nikogo już nie mogę naciągnąć. Nie mogłabyś mi pożyczyć kilka guldenów? To zostanie w rodzinie.

— W rodzinie zostanie! — zaśmiała się Stasia mimo tej propozycji, nie tracąc humoru — tylko nie przy mnie, bo pewnie nie oddałbyś mi nigdy ani centa. Ale zobaczę, co da się zrobić. Wprzód musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań. W pierwszym rzędzie, czy znasz studenta nazwiskiem Waldau?

— Znam! Czy on cię może chce naciągnąć?

— Zwariowałeś? — zawołała Stasia — nie znam go nawet — kłamała, aby się nie zdradzić — słyszałam tylko o nim coś, co mnie zainteresowało.

— Czy on coś zrobił? — spytała dalej ciekawie i badawczo.

— Jak to? Czy niby ukradł coś, czy zamordował kogo, czy sfałszował jakieś weksle, czy banknoty? Nic takiego nie wiem o nim. Głupstwo tylko zrobił, ale nic więcej.

— Jakie? — badała dalej anastazja.

— Ożenił się — odpowiedział z politowaniem Stein — jako wolny student, kamień młyński w postaci żony, uwiesił sobie na szyję.. Atramentem musiał się upić, żeby zrobić podobne głupstwo.

— Ożenił się!? — zdziwiła się Anastazja — przecież nie nosi obrączki? — zdradziła się przez nieostrożność.

— A ty skąd wiesz o tym, skoro go nie znasz? — spytał, śmiejąc się student.

— Mówiono mi — broniła się Anastazja — a jego żona, to co za jedna? Kelnerka, czy sklepiarka jaka?

— Niech Bóg broni! To ładna dama, ta jego żona — Chociaż dziecko jeszcze — może ma szesnaście lat — niewiniątko, chowane na wsi.

— Więc jest ładna? — spytała Stasia.

— Na mój gust zbyt eteryczna — opowiadał Poldek, którego ideałem piękności była baba, jak piec, z rumianymi jak burak policzkami — ale inni zrobili straszny wrzask, że ona jest bardzo ładna i nazwali ją Psyche. Czy ty wiesz wogóle, co to znaczy takie ładne słowo Psyche?

Anastazja nie była obeznana z mitologią, więc pominęła pytanie milczeniem i zapytała znowu, jak dawno Waldauowie pobrali się.



Słynny przywódca bolszewizmu Leon Trocki — Bornstein, zmuszony był szukać schronienia w Meksyku. Zdjęcie nasze przedstawia go wraz z żoną, po przybyciu do Tampiko.

— Nie ma jeszcze pół roku, kwartał może — odrzekł po namyśle Poldek — gdy wróciłem z wakacji, wrzeszczeli koledzy na powitanie, że się Waldau obabił. Nie chciałem temu wierzyć — ale... ty coś za dużo wypytujesz się o niego, niczym sędzia śledczy. Powiedz mi lepiej, ile z twej marnej mamony możesz mi odstąpić?

— Czekaj, wytłumacz mi najpierw, gdzie Waldau mieszka.

— Ulica Schonbrunowska I. 31. — odparł Stein — a teraz wyciągaj forsę.

Anastazja namyślała się, o co jeszcze należy zapytać.

Ale nic jej nie przychodziło na myśl, Poldek zaś nalegał o pieniądze.

Z westchnieniem wyciągnęła portmonetkę, mówiąc, że da mu tyle, ile tylko będzie mogła, chociaż cały kwartał będzie czuła ten uszczerbek.

Student nie brał na siebie tego uszczerbku, lecz bystro popatrzył w pugilares kuzyneczki.

— Co? — zawołał z pogardą, gdy Stasia wreszcie zamknęła pugilares — pięć marnych guldenów dajesz kuzynowi? Pomyliłaś się, chciałaś mi dać 10 guldenów, opamiętaj się! Jak będę doktorem praw, oddam ci wszystko z procentem!

— Długo będę musiała czekać, nim ty zdasz doktorat praw — śmiała się Anastazja — a zdaje się, że na moje pieniądze będę musiała poczekać do sądnego dnia. Nie mogę dać ci 10 guldenów zresztą, gdyż nie mam więcej pieniędzy przy sobie.

— To nieprawda — tryumfował Poldek — gdyż widziałem dobrze złotówkę w pugilaresie, którą usiłowałaś zakryć palcami — chowałaś wprawdzie i zakrywałaś, ale ja mam dobre oko i widziałem, że masz złoto w torebce. Nie bądź kutwą, dawaj mi tę złotówkę! Pomyśl tylko, że cierpliwości musiałem zużyć, by ci odpowiedzieć na wszystkie pytania, w nadziei, że wykorzystam twoje miłosierdzie, a tu takie rozczarowanie.

— Jakto? — spytała Anastazja podejrzliwie — możeś to ty skłamał, może to nieprawda? Mów, czy żartowałeś sobie ze mnie?

— Fe! — oburzył się Stein — mówiłem ci tylko prawdę, jak mi nie wierzysz, przekonaj się! A teraz dawaj pieniądze.

— Ta złotówka nie moja, tylko baronowej — broniła się Anastazja — masz jeszcze guldena. Więcej nie mogę ci dać.

Poldek rad nie rad musiał wziąć i poszedł, ciesząc się w duchu, że przynajmniej tyle wydobył od skąpej kuzynki.

Ona ze swej strony także była zadowolona. Nie żałowała pieniędzy, które dała lekomyślnemu kuzynowi bo usłyszane wiadomości były dla niej więcej warte.

Chciała ona pani swojej spłatać figla i teraz nadarzała się ku temu sposobność.

Zrezygnowała z odwiedzin swej przyjaciółki i namyślała się, idąc dalej bez celu, w jaki sposób najlepiej zużytkować otrzymane przed chwilą wiadomości. Wreszcie po chwili namysłu plan był gotowy.

Wsiadła do tramwaju i wysiadłszy na Schonbrunnerstrasse, odszukała numer 31.

Była to uboga kamienica, podzielona na liczne partie zaludniona przez studentów, szwaczki i rzemieślników.

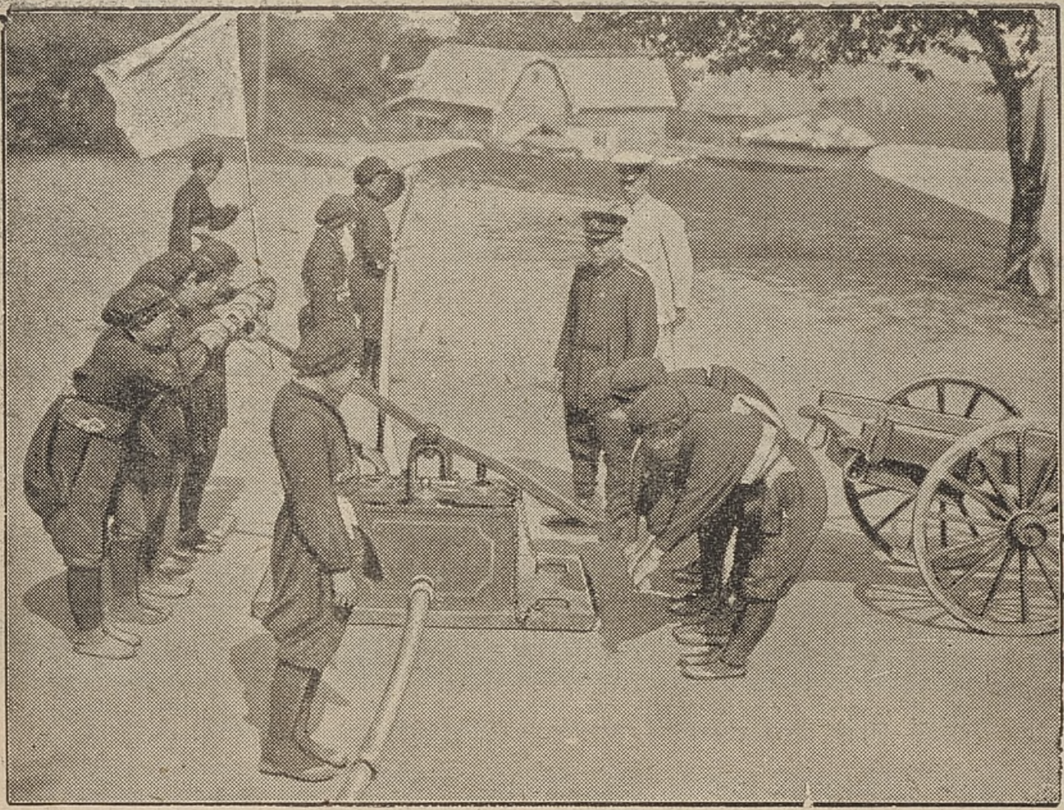
Na trzecim piętrze w sieni słabo oświetlonej lampą, odczytała wreszcie na jednej z licznych drzwi wizytówkę: Leon Waldau, słuchacz praw.

Namyślała się chwilę, jak postąpić, i wreszcie zapukała do drzwi.

Nie otrzymując odpowiedzi, zapukała po raz drugi, ale także bez skutku.

Otworzywszy drzwi, zobaczyła ździwiona zupełnie ciemny pokój.

— Przepraszam bardzo — rzekła łagodnym głosem — chciałam mówić z panią Waldau.


W Japonii powstały kobiece oddziały straży pożarnej. Na zdjęciu grupa kobiet wykonująca ćwiczenia.

Rozczarowanie jej pierzchło, gdy usłyszała cichą odpowiedź:

— W tej chwili zapalę światło!

Wkrótce zobaczyła przy świetle lampy młodziutką, dziecinną twarzyczkę kobiety, widocznie bardzo zmartwionej. Powieki jej były zaczerwienione od płaczu, policzki bardzo blade, a wokoło ust, jakiś gorzki rys cierpienia.

Piękność jej jednak nie straciła na tym i Anastazja była szczerze nią zazachwycona.

— Przepraszam bardzo — mówiła niepewnie — czy rzeczywiście mam przyjemność mówić z panią Waldau?

— Tak, to ja jestem — powiedziała Hortensja.

— Boże mój — zawołała Anastazja ze wzruszeniem prawie zupełnie szczerym — taka pani młoda, a taka smutna. Płakać mi się chce razem z panią, a na nieszczęście, zamiast pani ulżyć, muszę jej przysporzyć jeszcze zmartwienia.

Wyjęła chustkę z kieszeni i zaczęła szlochać.

Nie uroniła żadnej łzy, tylko nos jej poczerwieniał od tarcia.

Hortensja przestraszyła się.

— Pani od Leona? — zawołała — może on jest chory, może nie żyje? Na miłość Boską, niech pani mówi!

Z bijącym sercem czekała na odpowiedź tej kobiety, która przyszła, by wsączyć w jej młodą duszę jad zazdrości, a patrzyła na nią z udanym współczuciem.

— Nie, nie — odpowiedziała jej prędko Anastazja, pan Leon Waldau żyje i cieszy się jak najlepszym zdrowiem. Mówiąc to, czuła, że ma grzeszny zamiar przysporzyć zmartwienia tej młodej kobiecie. Ale litość dla Hortensji była mniejsza niż nienawiść do baronowej, a zresztą cofać się było za późno.

— Wie pani gdzie jej mąż teraz się obraca? — syczała szeptem.

— Nie — odparła Hortensja smutno.

— U baronowej Wimpfen — rzekła Anastazja z naciskiem.

Wieść ta jednak nie wywołała pożądanego wrażenia.

— Nie wiedziałam — odparła Hortensja — że Leon ma tak dostojnych znajomych.

— Znajomych? — rzekła cynicznie stara panna — ładna znajomość. Przyszłam — dodała — aby jako prawdziwa przyjaciółka, powiedzieć, co mąż pani tam robi. Otóż on haniebnie panią zdradza, zaniedbuje, bo jest kochankiem baronowej Wimpfen. W tej chwili, gdy pani tu samotnie siedzi, on spoczywa w jej objęciach i przysięga jej gorącą, dozgonną miłość.

Hortensja słuchała słów tych z suchymi, szeroko otwartymi oczyma. Wprawdzie Anastazja mówiła tylko na podstawie przypuszczenia, ale znała swoją panią zbyt dobrze, aby nie wiedzieć, że mówiła prawdę. Przemawiała więc tonem zupełnego przekonania, ale Hortensja przerwała jej opowiadanie okrzykiem rozpaczy.

Milcz! — zawołała. — Ja nie zniosę tego, to za wiele, to za wiele! — jęczała jakby śmiertelnie zraniona.

Coś, jakby litość, ukazało się na ostrej, zwiędłej twarzy Anastazji.

— Biedne dziecko! — szepnęła szczerze i miękko — ale lepiej dla pani, że wiesz wszystko, niż miałabyś oddawać się złudzeniom i uważać męża za świętoszka.

— Co ja zrobię! — jęczała Hortensja tonąc w smutku.

Nie było to pytanie, ale krzyk rozpaczy. Anastazja zrozumiała to jednak źle i ponieważ pytanie to zgadzało się z jej planami, pośpieszyła z informacjami:

— Musi pani upokorzyć męża i jego kochankę. Niech pani idzie natychmiast do baronowej i wedrze się przemocą do wnętrza. Zastanie ich pani oboje w buduarze. Niech pani wobec służby zrobi im ogromną scenę. W ten sposób dumna baronowa zniechęci się do kochanka, a pani odzyska męża.

Nie uważając, że Hortensja nie słyszy nawet, co ona mówi, napisała na biurku Leona kilka słów, po czym wcisnęła kartkę w rękę Hortensji.

— Proszę, oto adres baronowej — rzekła — niech pani usłucha mojej rady i idzie tam natychmiast, tylko niech mnie pani nie zdradzi.

Hortensja zakrywając twarz rękami, odpowiedziała na to tylko jękiem.

Anastazja stała przed nią i dogadywała jej wciąż. Używała całej swej wymowy, aby skłonić młodą kobietę do skompromitowania baronowej.

— Biedne dziecko — rzekła z udanym współczuciem, kończąc cały potok słów.

— Żal mi pani serdecznie, ale musiałam pani oczy otworzyć, bo ślepota byłaby gorszą, niż jasna świadomość tego, co się dzieje. Wiedząc o wszystkim możesz powstrzymać męża od złego postępowania. Odważną, energiczną interwencją możesz odzyskać utracone szczęście. Powtarzam pani jeszcze raz: idź natychmiast do pałacu baronowej Wimpfen, tam zastaniesz swego męża sam na sam z kochanką. Radzę pani upokorzyć tę dumną kobietę. Niech ją pani zbeszta i poniży, jak pani tylko potrafi, w obecności służby i męża. To jest jedyny środek, do wyrwania go z sieci tej wyrafinowanej kokietki.

Anastazja sama dziwiła się swojej elokwencji, podżeganej nienawiścią i chęcią zemsty.

W podnieceniu, nie zauważyła wcale, że Hortensja nie słucha tego, co ona mówi.

Skończywszy, pochyliła się nad nią i spytała ostro, prawie groźnie:

— Zrobi to pani, co jej radzę?

Hortensja odpowiedziała skinieniem głowy. Nie wiedziała wprawdzie czego od niej żądano, ale instynkt podyktował jej, że w ten sposób pozbędzie się nieproszonego gościa; którego wprost bała się.

Anastazja była rzeczywiście przekonana, że dokazała swego i zabrała się do odejścia.

We drzwiach odwróciła się jeszcze i rzekła uroczyście:

— Niech Bóg cię pocieszy, moje dziecko!

Hortensja nie słyszała tych słów jak i poprzednich, ale Anastazja była bardzo zadowolona ze skutków swej dyplomacji.

Idąc ulicą wyobrażała sobie, jak to będzie. Lokaje dostaną łapówkę i wpuszczą Hortensję do sieni. Tam jednak pokojówka i zaufana baronowej, Frania, oprą się stanowczo temu, aby obca kobieta weszła do pokoju.

Bez wątpienia rozpocznie się głośna sprzeczka i wywabi z pokojów baronową z Leonem.

Wtedy Hortensja wpadnie na nią i zacznie ją besztać ostatnimi słowami.

Ach, żeby też umiała dobrać możliwie silne wyrazy i poniżyła tę dumną baronową jak psa.

Anastazja wróci potem do domu i będzie udawała, że o niczym nie wie i ze zdziwioną miną będzie słuchała opowia-

dań służby, jak baronową zbesztano i skompromitowano.

Zielone jej oczy błyszczały rozkoszną radością, usta zaś uśmiechały się słodką zemstą.

— Dobrze jej tak — szeptała — ona niczego się tak nie boi jak skandalu, a to właśnie będzie miała. Już ja się postaram o to, aby się ludzie dowiedzieli o tym, co się stało, a Wiedeń przez cztery tygodnie będzie miał o czym mówić. Palcami ją będą pokazywać na ulicy, a gdzie tylko się pokaże, przywita ją ironiczny uśmiech.

Anastazja rozpływała się w uczuciu zemsty, za tysiące upokorzeń, których doznała od swej pani.

Nie pomyślała zaś ani na chwilę o tym, jaką boleść sprawiła kochającej Hortensji.

. . . .

Anastazja zbyt była rozdrażnioną, aby iść do przyjaciółki, albo nawet do restauracji. Chodziła zatem po ulicach i wróciła do domu dopiero wtedy, gdy mogła udać, że wraca z teatru.

ROZDZIAŁ XLVI.

Hortensja wprost omdlewała po odejściu okrutnej Anastazji, nie mogła zebrać myśli.

Odczuwała tylko jedno: pragnienie śmierci.

Dusza jej uginała się pod brzemieniem tego nieszczęścia. Całe serce, całe bogactwo miłości złożyła w ofierze u stóp męża. Patrzała zawsze na niego, jak na ideał posiadający wszystkie cnoty, jak na bohatera.

Był dla niej nie tylko kochankiem, ale obrońcą, wychowawcą, wszystkim.

A teraz?

Ściągnięte z piedestału bożyszcze leżało w prochu. Aureola rozwiała się, a miłość leżała w gruzach pogardzona, odepchnięta. Serce jej zdeptane nogami. Za miłość i wierność odpłacono jej troską i cierpieniem.

Krzywda doznana od Leona wydawała jej się coraz większa. Nie lamentowała, jednak nie rwała włosów z głowy, jakby to zrobiła egzaltowana jakaś kobieta, bo usposobienie jej buntowało się przeciw temu.

Więc choć jej serce pękało, to tylko ciche westchnienia wydobywały się z ust jej, a zdrętwiałe i suche oczy patrzyły w jeden punkt.

Wyglądała jak uosobienie rozpaczy.

W tym stanie nie słyszała nawet dwukrotnego pukania do drzwi.

Do pokoju wszedł Feldern.

Zdziwił się, zobaczywszy Hortensję w takim smutku, ale jako dobrze wychowany człowiek, udawał, że tego nie widzi i pozdrowił ją uprzejmie.

— Przepraszam bardzo — rzekł — myślałem, że zastanę Waldaua. Wracam z proszonego obiadu i przechodząc obok, nie mogłem sobie odmówić tego, aby nie wstąpić do państwa.

Feldern przestraszył się, zobaczywszy twarz Hortensji przy świetle lampy.

Była trupio - blada, a oczy jej były zupełnie wygasłe. Usta, jak u dziecka, miały wciąż wyraz jakiejś ogromnej goryczy i gorzkiego strapienia.



Jedną z największych uroczystości towarzyskich w Sztokholmie jest tradycyjny bal, którego początek sięga okresu panowania królowej Krystyny. W dniu tym zostaje przedstawionych królowi szereg młodych pań. Na zdjęciu, na prawo król w otoczeniu rodziny.

— Na miłość boską, co się pani stało? — zawołał Feldern, zapominając o dobrym wychowaniu.

Ciepły, życzliwy ton jego głosu, przełamał suchy ból Hortensji.

Z oczu jej popłynęły strumieniem łzy, ale ani jedno słowo wyjaśnienia nie przeszło przez jej usta.

Feldern przypatrywał się jej zaniepokojony i wzruszony.

Gdy się trochę uspokoiła, rzekł drżącym głosem:

— Nie potrafię pani powiedzieć, jak z nią współczuję. Życie oddałbym za to, by pani pomóc. Niech mi pani wszystko powie, może będę mógł być w czymś pomocniejszym? Proszę mnie ważać za brata, który panią kocha i szanuje, i na którego pomoc może pani liczyć. Niech mi pani powie, co się stało, a Bóg mi pomoże, że pomogę pani.

Ciepłe jego słowa były balsamem na zbolałe serce Hortensji. Skromnie i naiwnie podała mu rękę i rzekła:

— Lubię pana, jak brata, panie Feldern.

Asesor zbyt taktowny, aby jej rękę ucałować, uścisnął ją tylko i puścił, mówiąc:

— Niechże pani mi się zwierzy jak bratu.

W tej chwili Hortensja uświadomiła sobie na nowo przyczynę swego smutku i wybuchnęła płaczem.

Nie zastanowiła się nad tym, że nie powinna oskarżać swego męża wobec kogoś obcego, lecz odczuwając potrzebę podzielenia się z kimś życzliwym swoim smutkiem — zawołała łkając:

— Leon już mnie nie kocha!

Asesor dawno już wiedział o tym i dziwił się, że ona to dopiero teraz zauważyła.

— Czy pani ma dowody? — usiłował ją pocieszyć.

Hortensja osuszyła łzy i powtórzyła wszystko, co jej powiedziała nieznajoma kobieta.

Feldern zdziwił się ogromnie.

Wiedział o tym, że Leon zaniedbał żonę, ale nie przypuszczał, aby przyszło do tak daleko idącej zdrady małżeńskiej.

Znał zresztą baronową Wimpfen i wiedział, że jest ona dumną arystokratką. Słyszał o jej awanturach miłosnych, ale te były zawsze otoczone mrokiem tajemnicy.

— To tylko złośliwe oszczerstwo — rzekł przekonywująco — nie wiem, o co tej obcej damie chodziło, ale stanowczo nie wierzę w to, co pani powiedziała.

Słowa te wywołały u Hortensji cudowny smutek. Skamieniałe jej rysy ożywiły się, a wzrok zajaśniał radosną wdzięcznością.

— Wrócił mi pan życie! — zawołała do Felderna. — Ach, nie powinnam wątpić w uczciwość mego męża! Będę mu ufała, choćby nawet pozory przemawiały przeciwko niemu i choćby ta kobieta przemawiała jak najwięcej przekonywująco.

Ach, gdyby tylko mieć pewność!

Przy tych słowach na nowo wróciła jej rozpacz. Feldern, widząc ją znowu zalaną łzami, rzekł uroczyście:

— Ja pani dam tę pewność. Niech mi pani zaufa.

Włożył jej zarzutkę na ramiona i kazał jej wziąć kapelusz. Słuchała go mechanicznie. Zamknął mieszkanie na klucz, o czym nawet nie pamiętała, wyprowadził ją z domu i zawiózł dorożką do pałacu baronowej Wimpfen, której adres wymienił dorożkarzowi.

Przez całą drogę nic nie mówili do siebie.

Gdy dorożka stanęła przed pałacem baronowej, Hortensja zerwała się natychmiast.

Feldern jednak podtrzymał ją.

— Odwagi, proszę pani! Za chwilę będzie pani miała pewność. Proszę tu czekać na mnie cierpliwie.

Hortensja z jękiem wpadła na siedzenie, on zaś wysiadł i zadzwonił u bramy.



Jeden z przyrodników podarował akwarium berlińskiemu kameleona górskiego, którego przywiózł z lasów dziewiczych w Kamerunie. Zwierzątko to posiada dwa rogi na pyszczku i wysoki pocięty grzebień.

Długi czas czekał zanim mu otworzono.

Kwaśna mina lokaja Jana, rozjaśniła się, gdy zobaczył asesora, który bywał u baronowej.

— Muszę koniecznie mówić z panią baronową — rzekł — gdyż ważna sprawa sprowadza mnie o tak późnej godzinie. Proszę mnie zameldować.

Jan miał surowy rozkaz nie wpuszczać nikogo, więc skłamał, że baronowej nie ma w domu.

— Ależ wszystkie okna są oświetlone — rzekł asesor, wsuwając coś Janowi do ręki.

Dlaczego to pani baronowa nie życzy sobie nikogo przyjąć? — spytał zniżonym głosem.

— Pani baronowa ma gościa, z którym chce być sama — odpowiedział Jan z cynicznym uśmiechem.

— A kto jest u niej? — spytał asesor.

— Student jakiś — odpowiedział pogardliwie lokaj — Woldau czy Waldau się nazywa.

Jan odpowiedział chętnie, zdążył bowiem zauważyć, że papier, który mu wsunięto w rękę, był banknotem 50-cio reńskim.

Asesor wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć, rzekł więc do Jana na pożegnanie, że nie potrzebuje baronowej donosić o jego późnej wizycie.

Zawahał się z czym wrócić do Hortensji. Był mężczyzną szlachetnym i ból Hortensji odczuwał rzeczywiście szczerze. Wiedział, że wiadomość, którą jej przyniesie, wtrąci ją w ogromną rozpacz, a jednak na myśl o dowiedzionej niewierności Leona, ruszyło się w nim coś, jakby jakaś słaba nadzieja.

Na odgłos jego kroków wychyliła się Hortensja z powozu.

Feldern kazał jechać napowrót do mieszkania Hortensji i w drodze, po chwili dopiero, rzekł powoli, jakby z wahaniem:

— Hortensjo! Małżonek pani nie jest godny twej miłości. W tej chwili bawi u baronowej, a służba ma rozkaz nikogo nie wpuszczać.

Z bijącym sercem czekał na rezultat swoich słów.

Nastąpiła chwila ciszy.

Nagle wyrwał się z piersi Hortensji okrzyk tak przeraźliwy, że zagłuszył turkot kół.

W następnej chwili osunęła się zemdlona w jego ramiona.

Trwoga jego ustąpiła radości, że trzyma w objęciu kobietę, która zawsze była celem jego pożądań i posunął się nawet tak daleko, że ją pocałował.

Przestraszył się swojej śmiałości, która mu się wydała profanacją i przysiągł sobie, nie nadużywać bezbronności tej kobiety.

Usiłował przywołać ją do przytomności trąc jej zimne ręce, ale napróżno.

Z niecierpliwością więc oczekiwał końca jazdy, a potem wyniósł zemdloną wciąż Hortensję z powozu. Otworzył drzwi mieszkania, w którym paliła się jeszcze lampa i położył ją na kanapie.

Właśnie chciał wyjść, by zawołać gospodynię, gdy Hortensja zapytała słabym głosem:

— Gdzie jestem?

Feldern ukląkł przy kanapie i rzekł:

— Przyjaciel i brat jest obok pani.

W tej chwili wróciła jej świadomość nieszczęścia i zaczęła znowu płakać.

Złożyła głowę na jego ramieniu, jak gdyby naprawdę był jej bratem, on zaś doznawał rzeczywiście jakichś braterskich uczuć w stosunku do tej skrzywdzonej kobiety.

Zamyśleni, cicho zachowując się, nie słyszeli zmęczonych kroków, wlokących się po schodach, i otwierających się drzwi.

Na progu stał Leon z zapadłymi oczami i ze zblazowaną miną.

Sam grzeszny i wyuzdany nie miał zrozumienia dla żadnych czystych uczuć i w duszy uczuł jakieś zadowolenie, że postępowanie żony usprawiedliwia jego własne.

— A to przyjemne odkrycie! — zawołał szyderczo. — Nie będę państwu przeszkadzał.

Nie widząc wzroku pełnego wyrzutu i boleści, jakim go obrzuciła Hortensja, ani oburzenia Felderna, wyszedł szybko.

Asesor po krótkim namyśle powziął plan: przeprosił Hortensję i zbiegł po schodach za Leonem, aby mu wyjaśnić sytuację.

Hortensja została sama ze swoim smutkiem.

ROZDZIAŁ LXVII.

W aptece pod złotym aniołem

Na jednej z głośnych ulic Wiednia stoi okazały gmach. W parterze jego znajduje się apteka ze złotym aniołem na szyldzie.

Właściciel apteki, pan Adolf Hai, znany był jako człowiek honoru, mimo, że nic nadzwyczajnego nie zdziałał.

Umiał bowiem robić sobie reklamę i brać cudze dobre uczynki na swój rachunek.

W razie powodzi na przykład, sam nic nie dawał, ale ofiarnie zbierał pieniądze od innych, a wszyscy sądzili, że jest anonimowym dobroczyńcą i że jest za skromny, aby wymienić wielkie sumy, które sam dokładał.

Hai umiał się maskować tak, że nikt nie przypuszczał, że nigdy nie dał ani centa na biednych.

Pan ten był żonaty. Żona jego, Selma, fałszywa jak kot, o kociej szerokiej twarzy i oczach zielonych, warta go była w każdym calu. Ulicznicy nazywali ją „kocur".

Jak każdy kot, lubiała Selma Hai pedantyczną czystość.

Wprawdzie do salonu nigdy nikogo nie wpuszczano i pokrowców z mebli przez cały Boży rok nie zdejmowano, ale ona dzień w dzień własnoręcznie tam sprzątała, jakby tam bawiło się co najmniej kilkanaście dzieci.

Dla służby była wprost okrutna. Od rana do wieczora gderała, a płaciła skąpo.

Służące brała zawsze z domu sierot i w ten sposób miała pewność, że nikt nigdy nie upomni się o ich krzywdy, ani ojciec, ani matka.

— — — — — —

— — — — — —

Około drugiej godziny w południe, w jadalni aptekarza, młoda dziewczyna, o suchej, wynędzniałej twarzy, w świeżo białym fartuszku, zbierała ze stołu, a pani Hai przypatrywała jej się.

— Ten prowizor — lamentowała — zostawił taki ogromny kawał mięsa na talerzu. On będzie kiedyś dziękował Bogu, jeżeli tyle będzie miał dla siebie i swojej rodziny i będzie żałował, że kiedyś tak się rzucał.

Kawał mięsa, o którym była mowa, nie był większy od monety pięciokoronowej.

— Tłuste jest trochę, — wtrąciła służąca — jemu nie wolno jeść, bo cierpi na żołądek.

Czy pytałam ci się o to? — ofuknęła ją pani Hai — to bardzo podejrzane, że ty go tak bronisz. Uważaj, bym cię na czym nie przyłapała, bo wylecisz, jak stary kalosz.

— Ale ja nic nie zrobiłam! — broniła się służąca — chciałam tylko...

— Milcz, głupia — wrzasnęła pani Hai — myślisz, że będę się z tobą bawiła w pogadankę? Czy ja jestem twoja równa? Marsz natychmiast do kuchni i rób co do ciebie należy.

Służąca wyszła, dźwigając talerze i szklanki, aby w kuchni ze swoją towarzyszką spożyć resztki ze stołu.

W domu sierot wcale im nie dogadzano, zawsze jednak dostawały dość dużą porcję i strawa była ciepła, nie tak jak tutaj.

Właśnie żaliły się biedne służące na to, gdy pani Hai, która według swego zwyczaju zawsze pod drzwiami podsłuchiwała, wpadła jak bomba do kuchni.

— Nie podoba się wam? — zawołała. — Nie dość wam ciepło? Może wam marcypanów podać na obiad? Hultaje! Nicponie! Nie dobre wam, to nic nie dostaniecie.

To rzekłszy, zabrała im jadło.

— Marsz do roboty — krzyknęła — ty myj naczynie, a ty okna. A uważajcie, abyście czego nie stukły, bo odciągnę z pensji.

Mówiąc to, wyszła.

Dziewczęta stroskane patrzyły na siebie.

Ach, gdyby panna Ida dawała kawę! Ona nie jest tak skąpa, jak pani — szepnęła jedna.

— O, gdyby nie panna Ida, to byśmy tu nie wytrzymały — dodała druga. — Jej samej tutaj źle, ale nam ułatwia jak może.

Z westchnieniem zabrały się do roboty.

Pani Hai poszła tymczasem do izby, gdzie przy oknie siedziała młoda, blada dziewczyna.

Mimo, że już była jesień, miała na sobie suknię płócienną, przez częste pranie zupełnie już wypłowiałą. Biały fartuszek był w kilku miejscach pocerowany.

— Co? Ten nędzny monogram jeszcze nie skończony? — zawołała pani Hai.

Ida podniosła bladą, lecz piękną twarz. Owalne, regularne rysy, okalały ciemne włosy, zaś oczy miały krój migdałków, nosek wąski, prościutki, usta koralowe, perłowe ząbki, ładnie zaokrąglona broda. Ale policzki jej były blade, bo nieraz miesiącami nie wychodziła, a nieraz i nie dojadała.

— Zaraz będzie gotów!

— Ida, Ida! — wołała pani Hai — Ile razy będę ci mówiła, że tak się nie mówi, że odpowiedzi trzeba dawać dokładne. Czy skończysz za pięć minut?

— Nie, najwyżej za kwadrans.

— Powoli ci idzie — ganiła pani Hai — tyleś nam winna wdzięczności, a tak mało sprawiasz nam przyjemności. Wzięliśmy cię, jakby z ulicy, daliśmy ci wszystko: odzienie, naukę, a teraz, gdy powinnaś nam się odwdzięczać, udajesz wielką damę.

Niedokończywszy tych słów, wybiegła z pokoju, a Ida nie zdziwiła się, bo pani Hai zawsze biegła tu i tam po mieszkaniu.

Przypadkowo spojrzała w okno. Przez ulicę pędził koń spłoszony, a na chodniku leżał omdlały jeździec.

Ida otworzywszy okno, wychyliła się przez nie, natychmiast jednak cofnęła się ze strachem, gdyż na ulicy stała aptekarzowa.

— Moi panowie — mówiła — zanieście go do mnie, poślę po lekarza.

— Tak jest, do pani Hai, to zacna pani — rzekł ktoś z tłumu.

— Trzeba pomóc nieszczęśliwemu — mówiła skromnie aptekarzowa — gdzie może być lepsza pomoc, jak w aptece.

W tłumie począł ktoś wychwalać miłosierdzie aptekarzowej.

Ona pochwał tych słuchała skromnie. Kazała wnieść zemdlonego do domu, gdzie laboranci rozebrali go i ostrożnie położyli do łóżka.

Służące szeptały sobie wprawdzie w kuchni, że gdyby chory nie był tak bogato ubrany i nie miał takich złotych pierścieni na palcach, aptekarzowa byłaby nie udawała miłosiernej samarytanki; ale nie mówiły tego głośno. Pomyślały sobie tylko, że aptekarzowa na nich oszczędzi to, co ją nieszczęśliwy gość będzie kosztował.



Angielski minister spraw wewnętrznych John Simon potwierdził wiadomość, że najstarsza córeczka królewskiej pary, jedenastoletnia księżniczka Elżbieta, jest w obecnych warunkach jedyną następczynią tronu.

Pani Hai znała jednak tego jeźdźca z nazwiska. Był to markiz de Lorme, który we Wiedniu poszukiwał dalej śladów Desiree i od jednej z przyjaciółek aptekarzowej wynajął obszerne, nadzwyczaj eleganckie mieszkanie.

Wiedziała o tym, że to jest człowiek bogaty i hojnie wynagradzający wyświadczone mu przysługi, ale daleką była, aby się z tym zdradzić i udawała, że wcale go nie zna.

Teraz pytała lekarza, czy chory bardzo ciężko jest zraniony.

— Rany żadnej nie ma — rzekł lekarz, — obawiam się jednak wstrząsu mózgu. Proszę pokój trzymać ciemno, dawać lodowe okłady i niech chory ma zupełny spokój. Wieczorem zajrzę do chorego jeszcze raz.

— Bardzo proszę! — zachęcała pani Hai, podając doktorowi na pożegnanie suchą łapę z dużymi pazurami.

Co za zacna niewiasta!

Pani Hai wróciła do pokoju.

— Rzuć tę dłubaninę — rzekła do Idy, wskazując pogardliwie na haft — obierz sobie jakąś inną robotę. Idź na dół, każ sobie przynieść lodu i woreczek na dół i będziesz robić choremu okłady co 10 minut, a niech żadna ze służących nie przychodzi tam na pogawędkę do ciebie.

Ida posłusznie odłożyła robotę na bok, chcąc wyjść z pokoju.

— Oho — zawołała pani Hai — widzę, że ty tam chcesz próżnować. Niech Bóg broni! Weź ze sobą pończochy, które zaczęłaś i proszę, aby do wieczora były gotowe.

Ida milcząc, usłuchała, nie wiedząc nawet o tym, kto był ten człowiek, któremu miała nieść pomoc.

Ale jej to było obojętnym. Wystarczyło, że to był człowiek nieszczęśliwy i dumna była z tego, że ona biedna sierota, może stać się komuś użyteczną.

Weszła cicho do pokoju chorego.

Przy łożu siedział prowizor, który teraz wstał, robiąc Idzie miejsce.

— Czy zostawić pani zegarek, panno Ido? — spytał, — przyda się pani bardzo, bo okłady trzeba zmieniać regularnie co 10 minut.

— Dobrze, bardzo panu dziękuję! — odparła Ida cicho.

Prowizor położył zegarek na stole, ale wcale nie zabierał się do odejścia.

Ida tymczasem wzięła zwisającą rękę chorego i położyła ją na kołdrze.

— Biedny człowiek — szeptała — ciekawam kto on jest?

Trzeba będzie natychmiast zawiadomić jego krewnych o nieszczęściu.

Stara musi wiedzieć — odparł prowizor — ona zna pół Wiednia. To chytra bestia.

Ida dała mu znak, aby nie mówił, bo stara może usłyszeć.

— A, niech słyszy — zapalił się prowizor. — Jestem gotów odpowiadać za to, co mówię! Żółć mi pęka, ile razy widzę, jak ona się z panią szorstko obchodzi.

— Muszę pana prosić, aby pan nie wyrażał się tak o moich dobroczyńcach.

— Dobroczyńcach? — zawołał prowizor — gdzież to są ich te dobrodziejstwa? Raczej pani im wyrządza dobrodziejstwa.

Za skąpą strawę pracuje pani cały dzień, od rana do wieczora. Sukni pani nigdy w życiu od niej nie dostała, zawsze musi pani sobie przerabiać z jej starych łachmanów, a buciki ma pani znowu o milę za duże.

— Ja już jestem przyzwyczajona do tego, żyć tak na wielką stopę — żartowała Ida. — Bardzo mi przyjemnie z panem gawędzić, ale muszę pana poprosić o pozostawienie mnie samej, gdyż przeszkadzamy choremu.

— Pani ma zawsze wymówkę, aby odsunąć mnie od siebie — rzekł prowizor. — Bóg widzi, że mam uczciwe zamiary.

Mówiąc to, upadł na kolana i dodał zdławionym głosem:

— Panno Ido, ubóstwiam panią!

— Na miłość Boską, niech pan wstanie — prosiła Ida ostrożna — bo pani Hai może zobaczyć.

— A co mnie obchodzi pani Hai. Niech cały świat widzi! Jeżeli mnie pani uszczęśliwi, wtedy mi wszystko inne jest obojętne. Nie jestem całkiem biedny, mogę pani zapewnić utrzymanie.

Niech pani powie „tak", najdroższa Ido! Dziś jeszcze zaprowadzę panią do mych rodziców, których jestem jedynym dzieckiem. Przyjmą tam panią z otwartymi rękami, ja zaś będę naj-



Pięć rasowych przedstawicieli psiego rodu silących się na przyjemny wyraz twarzy...

szczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Ale Ida nie mogła się zdecydować.

— Wielki to dla mnie zaszczyt — rzekła. — Panie Bernardzie, bardzo cię cenię, ale nigdy nie mogę zostać twoją żoną.

Prowizor wstał z ziemi i zapytał głosem rozdrażnionym:

— Czy kocha pani innego?

— Nie, nie kocham wcale.

— A więc zawsze mam jeszcze nadzieję pozyskać sobie wzajemność pani.

W tym ktoś bardzo ostrożnie otworzył drzwi i jakiś kobiecy głos rzekł szeptem:

— Panie prowizorze, potrzebny pan jest w aptece.

— Zaraz przyjdę — odpowiedział prowizor, zamykając drzwi.

Następnie rzekł do Idy:

— Nie tracę nadziei, że zdołam pozyskać wzajemność pani. Niech się pani namyśli. Jeżeli pani wyjdzie za mnie, będzie pani miała dobrze.

Jesteś młoda i piękna, a piękność twoja ukaże się dopiero we właściwym świetle, gdy dostanie właściwe ramy i pozbędzie się tych wypominanych fatałaszków skąpej Haiowej.

Ida chciała mu odpowiedzieć, lecz nie dał jej przyjść do słowa.

— Niech pani jeszcze nie odpowiada, niech się pani jeszcze namyśli i może po jakimś czasie Bóg da, że odpowiedź będzie dla mnie pomyślna.

To rzekłszy, rzucił na nią gorące spojrzenie i wyszedł.

Ida pozostała w głębokim zamyśleniu. Uśmiechała się jej przyszłość, która była rajem w porównaniu z tym co miała teraz. Bernard był młody i nie brzydki. Rodziców jego znała, bo go czasem odwiedzali. Byli to ludzie dobrzy i zamożni. Jedyną lalkę, którą miała w życiu, dostała od pani Bernard, która zawsze miała ogromnie dobrotliwy uśmiech na ustach i z pewnością dobre serce, które Idzie nie wypominałaby tego, że pod dach ich domu wchodzi z próżnymi rękoma.

Uśmiechało się Idzie życie, w którym otaczano by ją rodzicielską miłością. Ale ona opierała się pokusie, gdyż wiedziała dobrze, że nie może Bernardowi prócz siostrzanej życzliwości, dać żadnego cieplejszego uczucia. Może ją nawet to gniewało, że go nie może kochać, ale była zanadto szlachetna, aby sobie udaną miłością zdobyć upragnione stanowisko.

Postanowiła więc znosić dalej swoją niedolę.

Tak rozmyślając, doglądała troskliwie chorego młodzieńca.

Naraz chory otworzył oczy i rzekł po francusku:

— Proszę o szklankę wody.

Ida podała mu wodę, podtrzymała go trochę, tak, że mógł pić i przybliżyła szklankę z wodą do jego ust. Hrabia wypił, poczym zapadł znowu w poprzednie omdlenie.

W ciągu dnia pani Hai kilkakrotnie przychodziła do pokoju chorego, przyczym jednak głównie chodziło jej o to, czy Ida robi pończochy.

Wieczorem lekarz oświadczył, że ktoś musi czuwać w nocy przy chorym,

— Mamy pełen dom służby — odpowiedziała pani Hai — która przez cały dzień nic nie robi, więc będzie na przemian czuwała przy łóżku chorego.

Pani Hai była rzeczywiście przekonana, że jej służba nic nie robi; mimo, że w całym Wiedniu może druga gospodyni tyle od sług nie wymagała, co ona.

Nakazała więc teraz, że do północy ma czuwać Hania, od północy Terenia, później aż do rana Ida.

Ida dla młodego chorego czuła coś tkliwego i nieznanego jej dotąd. Sprawiało jej to wielką, cichą radość, że mogła mu usługiwać, i z żalem odchodziła od niego o 10-tej wieczorem do swojej izdebki na poddaszu, gdzie sypiała.

Zamiast przebrać się, siadła na krawędzi łóżka i zapadła w jakieś senne marzenie.

Nagle pomyślała sobie, że Hania może przy łóżku zasnęła, a chory czegoś potrzebuje.

Poszła więc do pokoju w którym leżał, ciesząc się w duchu, że go znowu zobaczy.

Otworzywszy drzwi pokoju, usłyszała głośne chrapanie.

To Hania leżała na kanapie i chrapała z całej siły, podczas gdy chory niespokojnie przewracał się na swym łóżku.

Lód w woreczku zupełnie był roztopiony. Ida natychmiast zmieniła jego zawartość, potem zbudziła służącą.

— Czy już ranek? — spytała Hania zaspana.

— Nie — odpowiedziała Ida — dopiero jedenasta. Możesz iść spać, ja tutaj zasnę.

— Ale co pani powie na to — spytała trwożnie dziewczyna — pani mówiła wyraźnie, abym siedziała do dwunastej.

— Idź, nie obawiaj się, pani już śpi i nie będzie o niczym wiedziała.

— Ach, jaka panienka dobra — szepnęła Hania — taka byłam zmęczona, że zasnęłam.

To rzekłszy, wyszła do kuchni, a Ida przez całą noc czuwała przy chorym.

Markiz nad ranem stawał się coraz bardziej niespokojny. Mówił coś po francusku o jakieś damie, którą musi szukać i Ida musiała go gwałtem uspokoić.

Około 8-ej wyszła pani Hai z pokoju świetnie wyspana.

— Ida — zawołała niezadowolona — jak ty wyglądasz? Ja w twoim wieku mogłam trzy noce nie spać i nic po mnie nie było znać. Byłam świeża jak jabłko, a ty godzinę mniej spałaś i wyglądasz jak śledź wymoczony.

Ida naturalnie nie zdradzała się z tym, że nie spała przez całą noc.

Tymczasem pani Hai z zadowoloną miną spytała.

— Wiesz co u nas nowego?

— Nie.

Ciąg dalszy na str. 133.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

POZDRAWIAM WAS...

„Marika“. Reakcja, jaka nastąpiła u Ciebie, „Mariko“ jest objawem zupełnie normalnym, gdyż myśli ludzkie, skoncentrowane na jednym punkcie, potrzebują czasem odprężenia i odświeżenia. Z chwilą zaś, gdy to następuje, człowiek zyskuje znowu na dobrym samopoczuciu i mniej buntowniczo patrzy na świat. Wszak prawda, „Mariko“? Wiesz przecież o tym najlepiej, przechodząc sama erę buntowniczą. Serdeczny uścisk dłoni odwzajemniam pozdrowieniami i proszę o nowe wiadomości. Zakończenie listu Twego podaję niżej:

„Sonii“, „Anetce z Torunia“ „Banialuce“, Matusi — Ostrowiance“ — przesyłam pozdrowienia, zas wszystkim smutnym następujący wierszyk:

Pozdrawiam Was, pozdrawiam Was,
W imię wiosny,
W imię srebrzystych świtów,
W imię piosnki radosnej...
Do słonecznych błękitów
I do obłoków snów —
Uśmiechnijcie się znów!...
Pozdrawiam Was, pozdrawiam Was,
W imię słońca,
W imię wschodów różanych,
W imię marzeń... bez końca...
Do swych rojeń wiośnianych,
Do zachwytów bez słów —
Uśmiechnijcie się znów!...

NIE SPOTKAŁEM JESZCZE SWEGO IDEAŁU...

„Niebezpieczny Gość“. To tylko pseudonim, a więc miłe Sympatyczki „Krainy“ mogą z całym zaufaniem przeczytać poniższy list:

„Jak muszla miotana falą musi przyczepić się w końcu do czegoś, tak i ja, trwając przez dłuższy czas w rozterce, znalazłem wreszcie ciszę i ukojenie po wstąpieniu do „Krainy“.

Kilka słów o sobie: liczę 24 lata, z charakteru pół rycerz, pół romantyk, a ogólnie biorąc sprawę człowiek bez wygórowanych ambicyj. W sercu moim panuje niczem niezmącona cisza, może dlatego, że nie spotkałam jeszcze na swej drodze wymarzonego ideału. Myślę jednak, że wkrótce to nastąpi i wtedy jestem gotów bez najmniejszego żalu porzucić dotychczasowy błogi stan i oddać się w niewolę komuś miłemu i kochanemu.

Tymczasem, nim to nastąpi, pozdrawiam serdecznie „Złocisty Promyczek“, „Ninette“, „Smutną Elę“ i „Słodką Danuś“.

CZY WIERZYSZ MI?

„Przedwiośnie“. W ostatnim Twoim liście, Dziewczynko, znalazłam kilka głębszych myśli które uderzyły mnie swoją trafnością i prostotą. To, podobało mi się i za to składam Ci uznanie, ale, co do mego portretu, mam pewne zastrzeżenia. Wyobraźnia Twoja, Kochanie, nieco przesadziła, przeholowała, więc muszę sprostować, że nie jestem ani tak doskonałą, ani idealną, jak się to Tobie wydaje — ot, jestem poprostu jedną z milionła przeciętnych śmiertelniczek. Czy wierzysz mi? Nie. to przyjdź i przekonaj się!

Żegnaj, Kiziu i napisz znowu!

Z NIECIERPLIWOŚCIĄ...

„Urszulka z pod Grudziądza“. Obszerny list Pani natchnął mnie bardzo miło. Za zaproszenie ślicznie dziękuję. Postaram się skorzystać z niego w przyszłości, proszę tylko o dokładny adres.

Czy już wróciła Pani do domu? I czy nawiązała Pani korespondencję? Z niecierpliwością czekam na nowe wiadomości, no i na przyobiecane fotografie.

NIE LĘKAJ SIĘ...

„Jasieńka“. Jeżeli kochasz i jesteś kochaną, to wszystko inne ułoży się z biegiem czasu jak najpomyślniej. Nie lękaj się więc, „Jasieńko“, niepowodzeń i przeszkód, bo prawdziwa miłość nie zna przeszkód — jest zawsze silną i potrafi usunąć z swej drogi wszelkie zapory. Po za tym bądź ostrożną w wszystkich swoich poczynaniach, gdyż możesz nieopatrznie oddalić od siebie szczęście, a szczęście, jak powiedział jeden z poetów, to płochy ptak, który spłoszony nieostrożnie już nie wraca. Żegnaj i pisz do mnie jak najczęściej!

„Jasieńka“ przesyła „Lusi — Szczebiotce“ kilka następujących słów:

„Droga Dziewczynko! Pozdrawiam Cię jak najserdeczniej. Wybacz, że nie odezwałam się wcześniej, ale z pewnych względów nie mogłam. Jestem jedną z tych, które prosiłaś o list. Wprawdzie zmieniłam pseudonim, ale myślę, że domyślisz się kim jestem. Znamy się bardzo dobrze, Kochanie. Chyba nie mylę się?“

NIE ZAPOMNIAŁAM...

„Wesoła Marietta“. „Marietto“, Moja Droga Dziewczynko, nie zapomniałam ja o Tobie, bo czyż zapomina się kiedy szczerych i dobrych przyjaciół? Pamiętam zawsze i listy Two je witam z radością. Piszesz mi przecież zawsze o wszystkim obszernie i tak ciekawie.

W ostatnim liście obiecujesz mi przesłać swoją fotografię i czterostronnicowy list, a więc czekam z niecierpliwością. Tymczasem zaś zamieszczam dopisek z Twego listu:

„Latorośl Kaszubska“! Czy nie zechciałby Pan ze mną podyskutować?

„Słodka Danusiu“! Może napiszesz do mnie? Twarzyczka Twoja podoba mi się.

„Smutna Oleńko“! Wybacz, że nie pisałam, ale niestety, zgubiłam adres i nie wiem, dokąd pisać.

„Kamilu“! Zainteresował mnie Pan — proszę o liścik.

Przesyłam także pozdrowienia „Kraterowi II“, „Czarnemu Saturnowi“, Synowi Morza“ „Wirrytowi“. „Wilkowi Morskiemu“ i „Smutnemu Sztubakowi z pod lasu“.

Dużo całusów i pozdrowień ślę p. Z. Walkiewiczównie z Bydgoszczy. Czy odwiedzisz mnie znowu, Zoniu?“

WYOBRAŻAM SOBIE...

„Simpson“. Nowa sensacja! — w „Krainie“ obok „Edwarda VIII.“ znalazła się „Simpson“. Wyobrażam sobie, jakie zainteresowanie Pani ta wzbudzi w „Krainie“, zwłaszcza, gdy się wszyscy dowiedzą, że potrafi grać ślicznie na fortepianie i ślicznie uśmiechać się.

Przesyła ona (rzecz naturalna!) „Edwardowi VIII.“ najradośniejszy uśmiech, a dla „Merle“: co porabiacie — Ty i Ziuta? Przesyłam Wam gorące uściski“.

CZEMU?...

„Nell — szubarzka z Bydgoszczy“. Droga „Nell“! W związku z Twoim listem, proszę, przeczytaj sobie odpowiedź daną w ostatnim numerze „Powojowi“ i... nie miej żalu, Maleńka, do swego Tatusia!

Fotografia miła — dziękuję! Tylko... czemu buzia taka smutna? Proszę uśmiechnąć się „Nell“! I proszę pisać jak najczęściej!

WYPOŻYCZENIE KSIĄŻEK

„Czarny Hajdurzek“. Wyobrażenia Pani o mnie są częściowo trafne, tylko nazwisko podała Pani błędnie.

Czy odebrała Pani numery z odcinkami powieści: „Na łasce“?

M. K. uiszcza prenumeratę „Moich Powieści“ miesięcznie, a więc naprzód nie ma abonamentu opłaconego.

A teraz dziękuję za miły liścik i oddaje głos Pani:

„Manolo“! Dlaczego nie dajesz znaku życia? Czekam i pozdrawiam!

„Biała Uajali“! Czy tęsknisz jeszcze do rodzinnych stron? Wioskę Twoją znam. Przesyłam Ci dużo promiennych uśmiechów.

„Jadźce z Kujaw“, „Dzince“, „Blance“ „Dumce“, „Marucie“, „Sportsmence“, „Przedwiośniu“, „Wirrytowi“, „Cisowi“ „Te-Em“ — ślę moc miłych pozdrowień.

Równocześnie zapytuję, czy ktoś z dużej „Rodzinki“ posiada książki: „Mata Hari“, „Puszcza“, „Uroda Życia“ lub „Dzieje Grzechu“? Za wypożyczenie powyższych książek mogę zrewanżować się również wypożyczeniem książek, szczególnie bardzo ładnych powieści „Dell'a“.

ZA MOC SZALENIE MIŁYCH SŁÓW — DZIĘKUJĘ!

„Augustowianka“. Zaraz na wstępie dziękuję Pani za moc szalenie miłych słów i równocześnie muszę dodać, że cieszę się, że tak pięknie pojmuje Pani moją pracę i darzy mnie Pani tak żywą sympatią.

A teraz kilka słów á propos załączonego zdjęcia. Otóż jest ono bardzo miłe, ale za ciemne i za mało wyraźne do reprodukcji. Może nadeślę mi Pani inne? Zamieścimy chętnie!

Na zakończenie kilka słów z listu „Augustowianki“:

„Hallo! „Dzika Cyganko“ i „Marzycielu z pod Kościana! Czy gniewacie się, że nie dałam Wam odpowiedzi? Nie moja w tym wina! Wkrótce otrzymacie!

„Medyku ze Lwowa“, pseudonim Pana nasunął mi przypuszczenia, że znamy się doskonale. Czy możliwe?

„Samotna Indianko“, dziękuję za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam.

Hallo! „Uśmiech“ i „Tricotrin“! Może skreślicie do mnie kilka słów?“

NIE JESTEM TAK UROCZĄ...

„Milutkie Lilątko“. „Ideał“ nie tylko nie pogniewał się, ale uśmiechał się do Pani, choć na odległość, w czasie czytania miłego listu.

Wyobraża mnie sobie Pani, jako blondyneczkę z loczkami, o oczach, jak gwiazdeczki i ząbkach, jak perełki. Niestety! Nie jestem tak uroczą, jak to się Pani wydaje — muszą Panią wyprowadzić z błędu. Zresztą, może Pani kiedyś wpadnie do naszej redakcji i przekona się osobiście? Mieszka przecież Pani tak blisko Żnina!?

A teraz coś z listu Pani:

„Jestem młodą blondynką. Posiadam bardzo długie warkocze i ciemne oczy. Może ktoś zainteresuje się mną?

Na „dowidzenia“ zasyłam serdeczne pozdrowienia: „Słodkiej Danusi“, „Stachowi z pod Żnina“, „Te - Em“ i „Oryginałowi“.

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem nadesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Samotny Sfinks“, „Czarująca Nina“, „Słodka Danuś“, „Dziewczę z dalekiej Ojczyzny“, „Samotna Iwonka“, „Rudi“, „Ziemianin S.“, „Leniuszek“, „Leśniczanka z pod Jarocina“, „Ada z pod Wolsztyna“, „Jasne Słoneczko“, „Szarotka — Bydgoszczanka“, „Biały Wrzos“, „Taki — Jeden“, „Podszamotulanka“, „Niebieskooka Torunianka“ „Irka z Torunia“, „Smutna Eli“, „Lotos“, „Samotna Kukułka“....

NAPRÓŻNO...

„Pustelnik z nad Drwęcy“. „Samotność dokucza mi coraz więcej i smutek zakrada się do mego serca. Napróżno staram się go stłumić i wyrwać. Mimowoli nasuwa mi się pytanie: czy już naprawdę zgasło dla mnie szczęście i radość? Czy znajdę wreszcie serce, które poszy mnie?

Jeżeli ktoś zainteresuje się mną, niech napisze. Może uczyni to „Biały Wrzos“? Odpowiem długim listem!“

Czy list powyższy zwróci czyjąś uwagę? Chyba tak!

CZY ODEBRAŁA PANI?

„Minerwa“ z „Hul'ajskiej Trójki“. Wkrótce po otrzymaniu adresu, na który nota bene musiałam czekać dość długo, wysłałam Pani liścik — chyba go Pani odebrała?

Łączę miłe uściski dłoni i przedrukowuję niżej kilka słów z listu Pani:

„Moc pozdrowień przesyłam „Miłej Zapałeczce“, „Urodzie Życia“ „Tereni z szlacheckiego dworku“, „Afrodycie“, „Smutnej Imeldzie“, „Śliczno:ce“ i „Babiniczowi“. Napiszcie do mnie, Drodzy Sympatycy“.

OBIETNICA UCIESZYŁA MNIE

„Czarnobrewka II.“ Wytęskniony przez Panią, śnieg spadł nareszcie. Wyobrażam sobie zadowolenie Pani! Obietnica, przesłania mi długiego listu, oczywiście ucieszyła mnie ogromnie. Czekam.

Na zakończenie dopisek Pani:

„Ślę pozdrowienia dla: „Merle“ „Roześmianej Ziuteńki“, „Czarnobrewej Igi“, „Jarzębiny“, „Tancerza“, „Fotoamatora“, „Tartuka“, „Narcyza“ i Franka K. Wyżej wymienione osoby proszę równocześnie o miłe listy“.

W NASTĘPNYM NUMERZE

„Laleczka“. Wiersze dałam do przejrzenia Wujkowi Januszowi. Czy posiadają one jakąś wartość literacką dowie się Pan w następnym numerze.

Ostatni list Pana był zasadniczo krótki, wobec tego spodziewam się następnego dłuższego. Łączę miłe pozdrowienia.

PISZCIE NA POSTE-RESTANTE

„Granat 03.“ chętnie nawiąże korespondencje z panią po 30-ce. Listy prosi kierować na adres: Poste - restante, Pleszew, dla — „Granat 03.“

MOŻE NAPISZE DO MNIE...

„Wesoły Chochlik“. Najpierw dziękuję Panu za ogromnie serdeczny list, a następnie dopiero zamieszczam apel Pana:

„Może napisze do mnie „Inka“, „Nieznajoma Blondynka“, „Hanusieńka“, „Dziewczynka z Rogoźna“ lub „Marika“? Odpowiem obszernie i szybko!“

NIE ZAWIODŁO!

„Biała Wala i „Czarna Recha“. Naturalnie i dla Pań znalazło się miejsce w „Krainie“ — przekonanie nie zawiodło!

A teraz apel Pań:

„Kto napisze do nas? Może „Zapomniana Sylena“, „Wirrvt“ lub „Latorośl Kaszubska“?

Jesteśmy nierozerwalnymi koleżankami, mieszkamy w bardzo ładnym miasteczku wielkopolskim i czujemy się szczęśliwe“.

CZEKAM...

„Nieznajomy 220 — 380“. A więc czekam na tę chwilę, w której będę mogła przyjąć Pana do naszego grona i jak najserdeczniej pozdrawiam!

HALLO!
„OPUSZCZONY MARYNARZU“!

„Smutna Sztubaczka“ przesyła moc pozdrowień „Opuszczonemu Marynarzowi“ i równocześnie zapytuje, czy nie zechciałby napisać do bardzo odważnej dziewczynki, która ogromnie kocha morze i przepada za podróżami.

NAWIĄZANIE KONTAKTU

„Janheli“. „Zawalidroga“ przeszedł narazie w stan spoczynku. Powrót jego jest narazie nieprzewidziany.

Za wyrazy uznania, przesłane pod adresem „Moich Powieści“, bardzo Panu dziękuję. Apel zamieszczam:

„Jestem wesołym chłopcem. Lubię ludzi szczerych, którzy potrafią wczuć się w niedolę innych. Ponieważ jestem gorącym zwolennikiem wielkiej „Rodzinki“, apeluję, aby napisał do mnie któryś z jej członków. Jak najserdeczniejsze pozdrowienia wraz z przyjacielskim uściskiem dłoni ślę „Białemu Wrzosowi“, „Uwięźczonej“, „Samotnej Sosence“ i „Blance“. Czy wymienione Panie nie zechciałyby nawiązać ze mna kontaktu?“

KORESPONDENCJA

„Wesoła Ada“. „Kim jestem? Ot, zwykłą sobie dziewczynką, podobno zgrabną i wcale ładną“.

Tyle mówi o sobie „Wesoła Ada“! Ja dodam jeszcze to, że nasza nowa Sympatyczka jest inteligentną i pogodną istotką, mieszkanką największego, polskiego portu i że pozdrawia serdecznie: „Blankę“, „Białą Uajali“ „Słodką Danuś“, „Latorośl Kaszubską“, „Nowicjusza“ i „Marzyciela z nad Noteci“.

Czy wymienione wyżej Panie i Panowie zechcą napisać do „Wesołej Ady“?

CZEKAM NA JAKIEŚ ECHO!

Pani Maryla K. Kowalewo. Dziękuję Pani w imieniu Wujka Janusza i swojem za nadesłane pozdrowienia i przyjmuję do „Krainy“. Czy Pani zadowolona? Czekam na jakieś echo!

POZDROWIENIA PRZEKAZUJĘ!

„Wicha“. Słoneczny uśmiech i pozdrowienia odebrałam! Dziękuję! Czy nie zechciałaby Pani kiedyś wpaść do naszej redakcji?

Pozdrowienia dla: „Słodkiej Danusi“, „Blanki“, „Miłego Szatyna“ i „Te - Em“ — przekazuję i równocześnie zamieszczam kilka słów Pani:

„Hallo! „Stachu z pod Żnina“! O ile się nie mylę, znamy się. Może napiszesz do mnie?“

CÓŻ TAM NOWEGO?...

„Dumka“. Czytajcie!: „Cóż tam nowego w „Krainie“? U nas śpią lasy, gdzie rzucić okiem szaro, czasem tylko zaświeci blado słonko, uśmiechnie się do drewnianych chatynek i zadumanych ludzi.

Dobrze mi i radośnie, bo mam swój cel Praca wypełnia mi każdy dzień. Nieraz chodzę do chatynek małych, siadam przy ciepłym piecu i słucham skarg i narzekań. Dużo zmartwień mają ludzie. Myślę, że mieliby ich mniej, gdyby nie było na świecie tyle egoizmu i gdyby każdy chciał okazać trochę serca ludziom pokrzywdzonym przez los.

Serdecznie pozdrawiam całą „Rodzinkę“. „Gladiatorowi“ przesyłam wszystkie uśmiechy — radosne i smutne. „Niezapominajce z Pomorza“ — siostrzane uściski“.

Autorce powyższego liściku ściskam mocno łapki i proszę Ją o kilka słów z Wołynia.

Teczka Wujka Janusza

DLACZEGO NIE ZAMIESZCZAM WIERSZY?

„Wesoła Irutka“. Nie zapomniałem o Pani, gdyż nigdy nie zapominam moich przyjaciół. Co do wierszy zaś, to nie zamieszczam ich poprostu dlatego, że nie zawsze są one samodzielnymi utworami Pani. Odpowiedź szczera, a więc nie powinna Panią zjmrozić. Łączę miłe pozdrowienia i oddaję do przedruku zakończenie listu Pani:

„Moc pozdrowień i serdeczny uścisk dłoni ślę P. Fr. D. z Żnina i zapytuję Go dlaczego nie pisze?

„Pat“ i Patachon“! Przesyłam Panom uśmiech radości i uściski dłoni!“

WIERSZYK ZAMIESZCZAM

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny“. Wierszyk zamieszczam niżej i równocześnie dziękuję Pani za serdecznie skreślone słowa, a za milutkie pozdrowienia ściskam mocno rączki.

ODPOWIEDŹ...

„Edzie“ z Gniewkowa.

W jesienny, smutny czas deszczowych dni,
Gdy radość z ludzkich serc ucieka,
Gdy blednie szczęście i mrą najcichsze sny,
Znów duszę Twoją ból obleka..

O nie daj się porwać tej rozterce,
I nie sądź, że masz już starcze serce —
Nad bólu wznieś się poziomy,
Gdyż jesteś tylko... znudzony.

Wnet wróci wiosna, z nią odrodzenie,
Posieje kwiaty nadziei,
Znów Cię urzeknie czyjeś spojrzenie
I rozpacz Twoją rozwieje.

A kiedy słowik już będzie i bzy,
W ramionach Twych inna mała,
Zapomnij o tej, co w jesienne dni
Odeszła, choć Cię kochała.

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny“.

STWIERDZIŁEM Z PRZYJEMNOŚCIĄ

„Tu — Ryszard“. Przyjmuję serdeczny uścisk dłoni i równocześnie wyrażam życzenie, aby tak miło zadzierzgnięty przez Pana kontakt, nie uległ szybkiej zmianie.

List Pana przeczytałem bardzo uważnie i z przyjemnością stwierdziłem, że zapatrywania nasze są do siebie dziwnie zbliżone. Wniosek ten utwierdza mnie również w tym, że wymianie naszych myśli, będzie towarzyszyło zawsze obustronne zrozumienie, obok harmonii i umiłowania jednych spraw.

Nowelkę Pana — „Wróciła miłość“ — przeznaczyłem do druku. Oczekuję dalszych rękopisów i odwzajemniam uścisk dłoni pozdrowieniami!

ODPOWIEDŹ
NA BARDZO MIŁY LIST

„Kochanie“. Wierszyk miły, ale list jeszcze milszy. Może dlatego, że znalazłem w nim obietnicę nadesłania fotografii i śliczny, słoneczny uśmiech, przeznaczony tylko dla mnie. Dziękuję za jedno i drugie.

Kończe moją odpowiedź serdecznym uściskiem dłoni.

SZCZĘŚCIE!

Szczęście — Twych oczu, dwoje,
Dwóch źrenic czarnych krąg.
Szczęście — to usta Twoje
I szczery uścisk rąk.

Miłość — to my oboje,
Wspólne serc naszych bicie.
Radość i szczęście moje —
To tylko z Tobą życie.

L. J.

Raj kobiet



Śliczna makatka o wzorze japońskim. Aplikacją i haft. Aplikowana błękitna (ciemna!) sukienka, haft kwiatów żółty (pomarańczowy), listki białe. Aplikowana kokarda w kolorze jasno-żółtym, haft kraty — bronzowy i jasno-błękitny. Nakrycie głowy: haft czarny, szpile czerwone, kwiat biały i żółty. Lampion haft ciemno-błękitny. Stoliczek: haft bronzowy, filiżanka czerwona. Wzór można nabyć w cenie 1,20 zł. (Wzorów za zaliczką nie wysyłamy).

Makatki

W obecnych czasach nie każda Pani domu może pozwolić sobie na kupno gustownego, w dobrym gatunku kilimu i nie każda ma odwagę obwieszać ściany kilimami tańszymi, ale tandetnymi. Stokroć woli zawiesić śliczną, barwną makatę, niż wątpliwej wartości wyrób. Oczywiście pani ta robi jak najlepiej. Mała makatka o wzorze ludowym, japońskim, czy pomysłowo stylizowanym, starczy nieraz za najdroższy obraz lub najbarwniejszy kilim. Jeżeli jest ładna na niej, a nie na czym innym, spoczywają odrazu oczu wchodzących osób, wywołując niekłamany zachwyt. Pracowicie i artystycznie wykonana makatka jest nieraz punktem zbornym wszystkich zachwytów i podziwów. Ani eleganckie meble, ani wspaniałe firany i puszyste kobierce nie wzbudzają tyle podziwu. jle czasem taki drobiażdżek, takie małe cacko — artystyczne wykonana makata.

I czemu? Przecież kosztowała tak śmiesznie mało. Kawałek szarego płótna lub czarnego sukna, wzór nabyty za parę groszy i kilka pasem różnokolorowych nici. To wszystko! I tyle szumu i tyle zainteresowania!

A może i słuszne to wszystko, bo nieraz najskromniejsza rzecz, byle gustowna i ładna, jest wdzięczniejsza aniżeli najkosztowniejsza i najwięcej rzucająca się w oczy.

Warto się nad tym zastanowić i w rezultacie zabrać się samej do pracy. O Wzory nie trudno, przy dobrych chęciach zdobędziemy je łatwo i tak samo przy dobrych chęciach już w krótkim czasie możemy stać się właścicielkami jednej lub kilku artystycznych makatek, które przy nowoczesnych, skromnych meblach będą wyglądały naprawdę prześlicznie.

M. Z.

DOBRA GOSPODYNI

Śledzie smażone. Duże, ładne śledzie moczyć przez 24 godziny, zmieniając kilka razy wodę. Ostatnie 3 godziny moczyć je w mleku, potem dobrze wycisnąć, oczyścić, ściągnąć skórkę, pokropić octem lub cytryną, obtarzać w mące, umaczać w jajku i posypawszy tartą bułką, smażyć na maśle. Podać do nich sos musztardowy lub sałatę z ziemniaków.

Śledzie marynowane. Moczyć przez 24 godziny śledzie, potem wyprawić je, osuszyć i ułożyć w słoju, przesypując korzeniami i plasterkami cebuli. Osobno przegotować niezbyt mocny ocet, a gdy wystygnie, zalać nim śledzie, zawiązać słój i postawić go w zimnym miejscu. Na trzeci dzień są już do użycia.

Podając śledzie te na stół, trzeba z nich ściągnąć skórę, przekroić przez grzbiet, wybrać wszystkie ości, pokrajać na dzwonka i ułożyć na półmisku, przybierając po bokach ikrą, grzybkami marynowanymi, korniszonami.

Śledzie zwijane. Wymoczone śledzie obciągnąć ze skóry, rozpołowić je, odciąć głowy i ogony, wyjąć wszystkie ości i każdą połówkę posmarować grubo francuską musztardą, posypać drobno usiekaną cebulką i gorczycą, a zwinąwszy je w rolkę, układać w słoju, przekładając plasterkami cytryny. Na wierzch wrzucić trochę całego pieprzu i kilka listków bobkowych i zalać świeżą oliwą tak, aby śledzie były zakryte. Stać mogą kilka tygodni.

Śledzie w galarecie. Świeże śledzie dobrze wymoczyć, a potem ugotować tak, jak inne ryby z włoszczyzną. Na pół kg śledzi wziąć 2 listki żelatyny, rozpuścić w zimnej wodzie, wlać w to odcedzony smak ze śledzi, wymieszać i zalać. Do śledzi tych używa się sos musztardowy lub majonezowy. Śledzie te są wyborne, ale długo przechowywać ich nie można.

Kotlety ze śledzi. Cztery śledzie wymoczyć dobrze i wyjąwszy wszystkie ości, posiekać lub przepuścić przez maszynkę z trzema namoczonymi i wyciśniętymi bułkami. Dodać trochę cebuli, jedno jajko, nieco pieprzu, wymięszać wszystko dobrze, zrobić kotlety i, obtarzawszy je w bułce, smażyć na maśle. Osobno podać w sosjerce jakikolwiek rumiany sos.

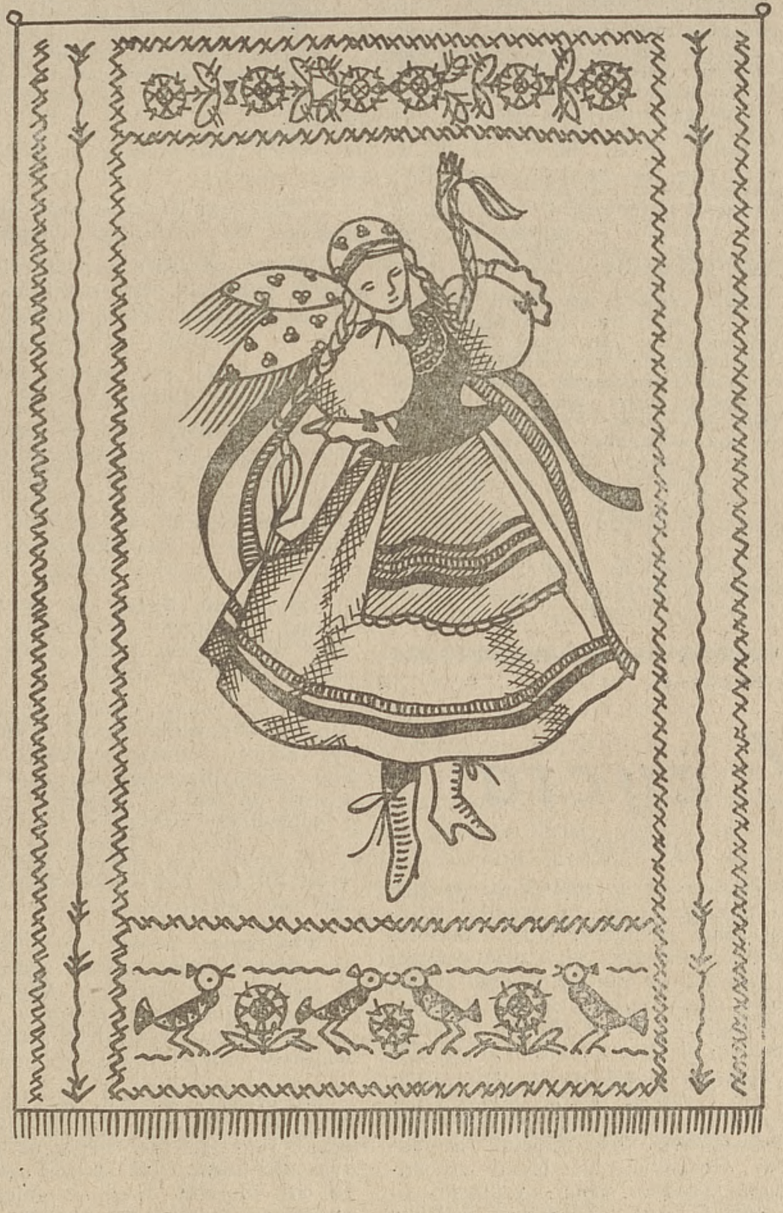
CZY WIECIE, ŻE:

Speakerzy radiowi w Italii pobierają od 900 do 1.200 lirów miesięcznie.

W Danii dyrygentów orkiestr radiowych wybierają drogą konkursu.

Rozgłośnie amerykańskie nadawały reportaż z popołudniowego przyjęcia towarzyskiego u znanej artystki filmowej Mary Pickford.

Koszt budowy gmachu radiowego w Brukseli wyniesie 20 milionów franków.



Makatka aplikowana i haftowana. Chustka żółta stanik ciemno-niebieski, rękawy białe, spódnica biała z naszyciami w czerwonym i czarnym kolorze. Buty czerwone. Ornament boczny w tych samych kolorach. Wzór oryginalnej wielkości można nabyć w naszej administracji w cenie 1,25 zł.

Wieś nie zawiedzie w pomocy dla bezrobotnych

„Naprawdę, że radością napełnia się moje serce, gdy widzę ochotę wsi przy zbieraniu darów dla głodnych i bezrobotnych. My, chłopi, jesteśmy czuli na ludzką biedę i nie trzeba nas, a także naszych sióstr i naszych matek uczyć miłosierdzia. Może lepiej od innych rozumiemy dolę bliźniego. Sami przebyliśmy wiele.

Wieś polska nie zawiodła. Na wezwanie Pana Prezydenta i rządu, na wezwanie najwybitniejszych osób w Państwie nie zostaliśmy w tyle. Już się sypią dary, ale trzeba ich jak najwięcej. Tych ofiar potrzeba bardzo wiele. Jak podają gazety, około milion ludzi trzeba wyżywić na wsi. Są to bezrobotni chłopi wraz ze swymi rodzinami. Prawie dwa razy tyle trzeba wyżywić w miastach. Są to także synowie i córki chłopów, którzy poszli za pracą i chlebem do miasta, bo w rodzinnej wsi chleba i pracy nie starczyło dla wszystkich.

To też cała wieś polska ruszyła z darami dla tych nieszczęśliwców. Do zbiórki stanęły wszystkie organizacje i związki rolnicze. Wydały one odezwę apelującą do rolników i chłopów z całej Polski o złożenie w okresie od 15 października do 1 grudnia bież. roku jednorazowej i dobrowolnej daniny, a więc od 1 kilograma do 4 kg żyta i od 5 kg do 10 kg kartofli z jednego hektara.

Odezwa odezwą, ale trzeba dawać i zbierać prędko, bo zima nie czeka. Kto daje prędko, ten dwa razy daje — mówi nasze przysłowie. Bezrobotnym trzeba przyjść z pomocą szybką i wydatną. To nie może być jałmużna. To nasz święty obowiązek i własny interes. Bronimy w ten sposób własnych braci i bronimy obywateli własnego Państwa. Jeśli chcemy mieć wielką i silną Polskę, to trzeba mieć zdrowego i silnego obywatela. Człowiek chorowity i głodny nie da Państwu siły i nie przysporzy mu znaczenia.

Chwalimy się, że mamy Polskę ludową. Niechże ten lud bezrobotny w Polsce ma ciepłą strawę na zimę od nas chłopów i od całego narodu w Polsce.

Kiedy już mowa o tym, chcę poruszyć następującą sprawę: wszystkie gminy w Polsce mają obowiązek żywić tak zwanych „rajzenderów" czyli włóczęgów. Takich włóczęgów w kraju jest przeszło 100 tysięcy. Łażą oni od wsi do wsi i trzeba ich nakarmić. Wieś ma z nimi wiele kłopotu. Takiego nakarmisz, a on często i coś ukradnie. Wydaje mi się, że byłoby lepiej, aby to, co daje wieś na tych „rajzenderów" oddać na bezrobotnych, a włóczęgów niechaj się wspomaga wspólnie z bezrobotnymi. Nasze władze niechaj wydadzą zarządzenia w tej sprawie, a my chłopi będziemy z tego bardzo zadowoleni, żeśmy się pozbyli tych „rajzenderów".

W tych ciężkich czasach, gdy każdy kartofel, i każda garstka żyta może być jak najlepiej zużyta dla bezrobotnych nie wolno nam niczego marnować. Obliczmy ile się wydaje na tych włóczęgów i oddajmy to wszystko na bezrobotnych, a będzie to dar z pewnością znakomity, który walnie podniesie całą zbiórkę. Taką myśl podaję i wierzę, że znajdzie się sposób jej przeprowadzenia bez krzywdy dla „rajzenderów", a z korzyścią dla bezrobotnych.

Piotr Wiewióra z Garwolińskiego.

Powyższe uwagi otrzymaliśmy od gospodarza z Garwolińskiego.

Podajemy je ze względu na znaczenie zagadnienia t. zw. „rajzenderów" — wiejskich włóczęgów i objęcia ich organizacją pomocy zimowej. Redakcja.

DR. CZ. KRASSOWSKI.

Z życia

(NOWELKA).

Porucznik Szudruszewicz znalazł się w bardzo ciężkim położeniu, bo oto wczoraj przegrał znaczną sumę pieniędzy, która stanowiła dla niego większą wartość, gdyż była ostatnią z pieniędzy pozostałych mu po śmierci matki. Krótki zimowy dzień zbliżał się ku końcowi. Włodzimierz pogrążył się w ciężkiej zadumie. Położenie stawało się bez wyjścia. Co począć? Pensja nie starczała nawet na to, żeby należycie ubrać się i zawsze trzeba było czerpać z małego kapitału, a teraz, kiedy go już stracił — niema nawet tyle, aby zapłacić za pokoik i obiady. Gospodyni już dzisiaj wspominała o długu. Trudno sobie wyobrazić, co kosztowała jego — syna szlacheckiej rodziny, ta rozmowa! Maleńka o przymrużonych oczkach gospodyni, we wzroku której wyczuł nieufność, odpowiedziała:

„Kto tam wie, kiedy pan zapłaci?.. Nuże pan wcale nic nie da!..."

Włodzimierz zaczerwienił się i powiedział, że zapłaci wszystko, a obecnie dziękuje nawet za obiady, dotąd — aż nie spłaci długu. Oczywiście, w porze obiadowej, tego dnia nic mu nie przysłano, a teraz już i wieczór niedługo... Zostawiono go głodnego w zimnie, bo nie może długu spłacić!... Włodzimierz bał się opuścić pokój i pójść postarać się o coś, bo był przekonanym, że każdy wyczyta w jego oczach głód i nędzę. Siedział więc zgarbiony, niby przykuty do małego stołka. Wieczór szybko zbliżał się... Nie zapalił lampy, bo w niej było mało nafty, a świt późno zaczyna się i nie starczyłoby na rano, kiedy trzeba spieszyć się do koszar...

„Puk... Puk!..."

— Uderzyło coś o parapet okna. Skrzywił się. „Psia kość! Zawsze w tej starej ruderze coś puka... stuka... Nigdy spokoju nie ma", — mruknął Włodzimierz do siebie. Tymczasem pukanie miarowo powtarzało się z tą samą siłą i dźwiękiem. Machnął ręką i położył się spać, myśląc:

„Zaraz usnę, a jutro pójdę do kolegi popić herbaty, o ile da"...

I zasnął w ubraniu. Śniło mu się, że przez pokój przeszła staruszka i zaczęła coś robić, stukać pod oknem a raczej pod parapetem, niby coś chowając, czymś dzwoniąc... Zerwał się nagle z łóżka... zapalił lampę i podążył do okna i zaczął oglądać parapet... Zwykły drewniany parapet, a pod nim — ściana, oklejona deseniową tapetą... Boże, amor ze strzałami.. serduszka niebieskie, a w górze — jakieś drobne kwiatki. Patrząc, uśmiechnął się:

„Jakie mieszkanie, taki gust! Ale co to za czarownica śniła mi się?"

Splunął złośliwie, obejrzał jeszcze raz parapet, dotknął palcami ściany... palce natrafiły na coś wypukłego, jakby drzwiczki szafki zamkniętej...

„Niech tam przepada wszystko" — płaczliwie zakończył Włodzimierz swoją obserwację.

„Tylko baby wierzą w sny... Śniła mi się czarownica, bo w brudach mieszkam"...

Odszedł od okna i zaczął pilnie szukać jakiegoś kawałka chleba, chociażby suchego... Ale nie znalazł... Ze złością spojrzał na swój mundur — był czysty i błyszczący...

„Naturalnie! — ciągnął dalej — mając taki mundur, można zdechnąć z głodu"...

I znów położył się... W uszach zadzwoniło mu, zakręciło się w głowie i wpadł w ciężki sen... Puk... suk... skrz.:: skrz::" — zapukało i zaskrzypiało coś koło okna i nieznajoma staruszka podeszła do parapetu i zaczęła przy nim operować. Włodzimierz zerwał się z łóżka, oblany zimnym potem...

„Co to za djabeł tu łazi?" — zapytał głośno, wpatrzony w ciemny pokój... Podniósł się z łóżka i postanowił drzemać przy stole z zapaloną lampą.

„A jak lampa zgaśnie, chyba własny nos zapalę, bo starucha wprost piekielna... aż dreszcze biorą"... Mówiąc to zasnął. A przez pokój znów cicho przesunęła się staruszka i podeszła wprost do stołu... Spojrzała na Włodzimierza i dobrotliwie rzekła:

„Poszukaj pod oknem. Wolę, żebyś ty zabrał, niż kto inny. Dużo tam schowałam, ale nikt nie wie"...

Włodzimierz zerwał się ze snu i podszedł do okna i znów natrafił palcami na coś w w ścianie pod parapetem. Wziął z biurka nóż i zerwał nim papier tapetowy. W murze wyraźnie zobaczył zamkniętą szafkę. Uczucie żywiołowej radości wprost go podniosło w górę.

Po długich trudach Włodzimierz otworzył drzwiczki i zobaczył głęboką niszę pod oknem. Nisza była szczelnie wypchaną gałganami, starym ubraniem. Już prawie stracił nadzieję, że coś znajdzie. Nagle z gałganów wypadło metalowe pudełko od chałwy. Otworzył je... Otworzył i omal nie krzyknął z radości — pudełko było napełnione po same brzegi złotymi monetami znacznej wartości...

Oto jeden z przykładów życia pozagrobowego. Przykład ten wyraźnie mówi, że czasem nasze cierpienia bardzo obchodzą dusze zmarłych.

Wiedeń, w lutym 1937 r.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka

ułożył W. M. Łysinin.

O	wnet	ją	go
ją	dłu	do	za
dzie	na	pa	a
złe	ta	po	brym
mi	lu	le	mię

Ruchem konika szachowego odczytać treść.

Bilety wizytowe

pod. M. T.

ST. NOY - PILITA

STAN. KARYWIUS

GERARD OTYSZ

Czym są właściciele powyższych biletów? Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 19 bm.

Rozwiązanie zadań z numeru 5 „Moich Powieści": Konikówka: „Cierpliwość i łagodność uważane są za słabość, a są wyrazem największej siły". Szarada: Karabin.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: F. Jarzembowski — Unisław, Feliks Kunze — Zielonka, „Fleur", Hieronim Zdanowski — Wierzchosławice, Bola Cerkaska — Mogilno, „Żołnierzyk z Grodu Lecha", Maria Dziomdziorzanka — Łódź, Bronisław Chojnacki — Gąsawa, Teofil Hereda — Renardowice, Cz. Szlagowski — Chojnice, Kazimiera Litczanka — Bobowo Maria Kozłowska — Katowice, Elżbieta Biernacka — Lidzbark, „Śląski Orzeł", Dr. Borys Magalit — Jasionówka.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Kazimierze Litczance z Bobowa i Feliksowi Kunzemu z Zielonki.

— Teobald wraca! — triumfowała pani Hai.

Ida zadrżała.

Teobald, jedyny syn państwa Haiów zawsze ją w niemożliwy sposób dręczył i wyjeżdżając przed trzema laty na studia do Paryża, pozostawił po sobie wrażenie ogromnie niemiłe.

— Wiesz, on jest teraz wielkim malarzem — mówiła pani Hai — i obcuje w Paryżu z wielkimi panami.

Głos jej głośny i niemiły, niepokoił chorego, ona jednak nic sobie z tego nie robiła.

— Pisze, że byłby dostał prawie pierwszą nagrodę na konkursie, gdyby nie szykany i zawiść sędziów konkursowych.

I, co to jeszcze chciałam powiedzieć. Aha! idź na śniadanie i wracaj prędko, bo ja nie mam czasu siedzieć tu i próżnować.

— Wrócę zaraz odpowiedziała Ida i wyszła.

Była bardzo zmartwiona, gdyż obawiała się, że powrót Teobalda narazi ją znowu na codzienne, tyciączne upokorzenia. Odjeżdżając, podał jej swój album prosząc z szyderczą miną, aby uwieczniła się w nim jakimś wierszykiem.

Wpisała mu rzeczywiście wiersz mówiący o tym, jak to słowami nie powinno się ranić bliźniego, ani szyderstwami wyciskać łez z oczu.

Przeczytawszy to, nie poczuł się winnym i taki był wściekły, że rzucił albumem w jej głowę. Schyliła się jednak i gruba księga przeleciała ponad jej głową, wybijając w porę szybę w oszklonej szafie.

Pani Hai ukarała za to Idę, a Teobald na pożegnanie pogroził jej pięścią, wołając:

— Mam nadzieję, że wróciwszy, nie zostanę już tutaj ciebie, poczwaro obrzydliwa!

Ale wtedy była młodym i nieładnym dzieckiem, a teraz nie przypuszczała, że grozi jej z innych przyczyn niebezpieczeństwo ze strony Teobalda. Pamiętała go tylko z lat dziecinnych i dlatego obawiała się jego przybycia.

ROZDZIAŁ LXVIII

Małe, ale własne

U ogrodnika w Dornbruch krzątają się gorączkowo. Mala i nauczycielka przypinają nowe firanki, przy czym rozmawiają, żartują i śmieją się.

Nazajutrz piękna Marta ma poślubić ogrodnika.

Za domkiem ogrodnika siedzi młoda dziewczyna i plecie wieńce i girlandy z astrów, georginii i liści dębowych.

Przed domem zajeżdża lekki otwarty wózek z którego wyskakuje Maks Fichtner, starszy ogrodnik, szczęśliwy narzeczony, który z pomocą stangreta zdejmuje z woza liczne pakunki i niesie do domu.

— Co pan przywiózł? — spytała Mala.

— Mówiono mi, że nie jest dobrze, jeżeli panna młoda zastaje próżną kuchnię i piwnicę. Porobiłem więc zakupy, aby Marta mogła lekko gospodarzyć. Między innymi kupiłem funt cynamonu.



Z okazji 40-lecia pożycia małżeńskiego królowej Heleny z królem Wiktorem Emanuelem Italskim, dnia 3 marca, wręczy papież królowej złotą różę. Róża ta jest ulubionym podarkiem papieża Do tej pory otrzymała „złotą różę", była królowa hiszpańska Wiktoria i matka króla Belgii Elżbieta.

Chciałem kupić dwa, ale kupiec mówił, że jeden wystarcza.

— Funt cynamonu pan kupił? — zawołały równocześnie obie kobiety i wybuchły homerycznym śmiechem. — Ależ to jej wystarczy do śmierci!

Niech pan odeśle kupcowi, on musi odebrać, bo zwietrzeje i na nic będzie.

Zrobiłem głupstwo — powiedział Fichtner — ale jestem tak szczęśliwy, że dziwię się, że tylko jedno.

— Gdzie postawimy maszynę do szycia? — pytała nauczycielka — w kącie, czy pod oknem?

Zabrały się dalej do porządkowania mieszkania; wreszcie Mala poprosiła szwagra o mirtę na wieniec dla młodej pani.

Po chwili Fichtner wrócił, niosąc wonne gałązki mirtowe.

Mala wyciągnęła koszyczek spod stołu, w którym miała druciki, brązowy błyszczący papier i jedwabne nitki.

Plotąc wieniec śpiewała, ale musiała sobie coś przykrego przypomnieć, bo twarz jej zachmurzyła się.

I ona była bliska swego celu. Uczciwy człowiek podawał jej rękę, już miała pójść do ołtarza i lekkomyślnie pozbawiła się tego szczęścia. Dlaczego była taka głupia, że słuchała kłamstw Egona, dlaczego nie odepchnęła go? Nie czas teraz żałować! Sama zawiniła, ale i on winien także, i na nim postanowiła się zemścić.

Dobrze, że hrabina z hrabianką pojechały na kilka dni do Wiednia — zawołała nagle żona nauczyciela — i że zabrały tylko pannę służącą hrabiny, ma bowiem pani czas wszystko dla siostry przygotować!

— Dobrze się stało — odpowiedziała twardym głosem Mala. — Marcie będzie bardzo do twarzy w tej białej sukni, którą jej podarował narzeczony.

— A pani w co się ubierze? — spytała żona nauczyciela.

— Mam czarną suknię, a we włosach i na piersi będę miała czerwone róże. Wieniec skończyłam już, czy ładny?

Żona nauczyciela wyraziła słowa szczerego zachwytu.

Tego samego dnia wieczorem odbyła się uroczystość. Cała służba pałacowa przyniosła młodej parze prezenty.

Kucharz przyniósł malowany serwis na kawę. Klucznica nakrycie stołowe, Mala maszynę do szycia, a kamerdyner zegar ścienny. Pomocnicy ogrodnika wielki dywan.

Piękna narzeczona była w siódmym niebie. Cieszyły ją nie tyle podarki, ile życzliwość i przyjaźń, jaką jej okazywali ludzie.

Mówiła, że nigdy w życiu nie była tak szczęśliwą, jak dzisiaj, z czego narzeczony cieszył się niezmiernie.

Jeden z pomocników ogrodnika przyniósł swoje skrzypce.

Po kolacji były tańce, aż wreszcie para młoda przerwała je, mówiąc:

— Jutro także dzień!

Mala otuliła Martę w chustkę, a ona oparła się na ramieniu narzeczonego.

Nie ma piękniejszego widoku, jak młoda para oddana sobie w wiernej miłości. Najuboższa chata przemienia się w pałac, jeżeli w niej mieszka miłość. Najwspanialszy pałac zimny jest i pusty, jeżeli ci, którzy w nim mieszkają, są sobie obojętni.

Marta ślubowała sobie zrobić wszystko co będzie w jej mocy, aby uszczęśliwić Maksa.

Szczęście domu leży w ręku gospodyni. Biada temu domowi, w który pani nie wnosi szczęścia. Budowany jest na piasku i pierwsza burza go zwali.

Prawdziwa kobieta znajduje szczęście w tym, że dba o dobro swej rodziny. Stroje tandetne są dla niej niczym, nie przykłada do nich najmniejszej wagi, lecz stara się tylko, aby atmosferę szczęścia rozsiewać dokoła siebie.

Rozmyślając nad tym, jakby uszczęśliwić męża, znalazła się Marta przed szkołą, w której mieszkała.

Narzeczeni pocałowali się na pożegnanie i rozeszli się. Gdy Marta znikła we drzwiach domu, szczęśliwy narzeczony jeszcze długo patrzył za nią i z westchnieniem poszedł do domu.

W nocy śniło mu się, że znalazł jakiś skarb i przyniósł go do domu.

Skarb znalazł rzeczywiście. — Serce wierne i przepełnione miłością, to największy skarb, jaki człowiek może posiadać.

Zbudził się wcześnie, wcześniej, niż zwykle, ubrał się prędko i zaczął chodzić po 3-ch pokojach swego mieszkania.

— Małe to, ale moje — mówił, uśmiechając się z zadowoleniem.

Ciąg dalszy nastąpi.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

6) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

— We własnej osobie, mój drogi.

— Jaka miła niespodzianka! Oczekiwałem cię dopiero wieczorem.

— Miałem też zamiar przyjechać wieczorem, bo wpierw chciałem odwiedzić matkę. Dowiedziałem się jednak, że właśnie wyjechała z uleczonym dzieckiem do jego rodziców i wróci dopiero wieczorem. Dlatego musiałem zmienić plan i najpierw odwiedzić ciebie. Jadąc od stacji obejrzałem potrosze pole twojej działalności i muszę powiedzieć, że zakłady przedstawiają się imponująco.

— Bo też są imponujące! — z zapałem potwierdził Bernard. — Nie masz pojęcia, jaką satysfakcję daje mi praca pod tak umiejętnym kierownictwem. Zaraz po obiedzie muszę cię oprowadzić wszędzie. Będziesz zdumiony, ba, olśniony. Zobaczysz. A na wieczór jesteśmy zaproszeni do Wendenburga. Przygotowano już dla ciebie pokój gościnny. A teraz powiedz mi jeszcze, jak się miewa ciocia Maria i dzieci?

— Dziękuję, bardzo dobrze. Ogromnie żałują, że nie możesz przyjechać do nas na dłuższy czas, jak zapowiadałeś.

— Ja niemniej, ale niestety teraz wyrwać się nie mogę.

Po obiedzie Bernard oprowadzał swego gościa po wszystkich oddziałach olbrzymich hut, uszczęśliwiony, że przegląd ten wywołuje szczery podziw Herbiga. Wieczorem udali się obaj do willi Anny. Wendenburg z serdeczną uprzejmością przywitał gościa, o którym tak wiele słyszał od Gerolda. Obaj panowie zmierzyli się krótkim badawczym spojrzeniem, po czym mocno uścisnęli sobie dłonie.

Bernard zauważył z przyjemnością, że wzajem przypadli sobie do gustu. Rychło znaleźli wiele punktów stycznych i z przyjemnością roztrząsali rozmaite sprawy ogólne Z kolei zaczął Wendenburg mówić o Bernardzie w słowach najwyższego uznania, co Herbiga napełniało radosną dumą.

Podczas kolacji miał sposobność zauważyć, jak bliski stosunek łączy jego siostrzeńca nietylko z jego szefem, lecz także z dwiema panienkami, a z błyszczących oczu Bernarda, ilekroć zwracał się do nich, wywnioskował, że z czasem stosunek ten jeszcze się zacieśni. Żadnym słowem nie zdradził się z tym swojem spostrzeżeniem, czekając aż Bernard sam go wtajemniczy.

Znalazłszy się późnym wieczorem w przeznaczonym dla niego wspaniale urządzonym pokoju, rozmyślał nad wrażeniami ostatnich godzin, co nasunęło mu znów wspomnienie owej dawnej, okropnej nocy. Bettina chciała rzekome szczęście swego syna zdobyć za cenę... zbrodni, a oto losy okazały się łaskawsze, niż kiedykolwiek mogła była marzyć.

Tak, jutro rano zobaczy siostrę po raz pierwszy od dziesięciu lat. Pogodzi się z nią i postara się przywrócić jej spokój duszy. Czyż nie odpokutowała swej winy tą dziesięcioletnią banicją? Jej przedwczesna siwizna wymownie o tym świadczyła. Nie uprzedził jej o swym przyjeździe. Stanie przed nią niespodzianie.

Nazajutrz rano, Herbig pożegnał swego gościnnego gospodarza i panienki. Musiał przyrzec, że niebawem ich odwiedzi.

Szybko ściskał Bernarda, gdyż musiał spieszyć do pociągu.

— Proszę pozdrowić mamę i powiedzieć, że będę u niej w najbliższą niedzielę.

— Powinieneś ją często odwiedzać, wszak dzieli cię tylko godzina drogi.

— To też jeżdżę do niej co drugą niedzielę. A mam nadzieję, że za najbliższą wizytą, będę już mógł stwierdzić dobry skutek twoich odwiedzin, wuju. Tak ją namawiam, by porzuciła ten swój ciężki zawód i zamieszkała ze mną, ale nie chce słuchać o tym. Rozwinęła się w niej jakaś chorobliwa żądza poświęcenia się dla drugich. Może ty potrafisz jej to wyperswadować.

Herbig położył mu rękę na ramieniu.

— Mój drogi, już ci raz powiedziałem, że nikomu nie należy narzucać swej woli. Niech matka twoja postępuje zgodnie z najgłębszym swym przekonaniem. Pozostawmy ją więc w spokoju. Będę się tylko starał przekonać ją, by nie pracowała ponad siły.

— Dziękuję wujowi z góry. Proszę pozdrowić ciocię Marię i kochanych bębnów. Skoro tylko znajdę trochę wolnego czasu, wpadnę do was.

Pożegnali się mocnym uściskiem.

* * *

Siostra Bettina siedziała w swym pokoiku przy oknie. Blada twarz w obramieniu siwiuteńkich włosów miała wyraz ogromnego znużenia, a w oczach, świadczących o łzach często przelewanych, czaił się niepokój. Czarny strój zakonnicy i biały czepek potęgowały jeszcze jej mizerny wygląd. Ale strój ten pozostawał w sprzeczności z niespokojnym wyrazem ciemnych jej oczu.

Zapukano do drzwi. Młoda siostra oznajmiła, że jakiś pan czeka na nią w rozmównicy.

Siostra Bettina wstała powoli. W pierwszych latach każde takie oznajmienie przyprawiało ją o gwałtowne bicie serca. Wbrew nadziei spodziewała się bowiem przybycia brata i czekała na niego z lękiem i tęsknotą. Dawno rozstała się z tą nadzieją i była mu wdzięczna, że przynajmniej jej synowi nie dał odczuć zmiany stosunku do niej.

Za wejściem do rozmównicy znużone jej oczy zobaczyły sylwetkę rosłego mężczyzny, odwróconego od świata. Nie poznała go w pierwszej chwili.

Herbig podszedł ku niej i głęboko wstrząśnięty ujrzał do niepoznania zmienioną twarz siostry. W tej chwili wina jego wydała mu się małą w stosunku do pokuty, jaką sobie zadała.

— Bettino!

Drgnęła, oczy jej rozszerzyły się, w lęku i radości, wyciągnęła drżące ręce. Teraz dopiero poznała brata. Otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć żadnego dźwięku, tylko szloch spazmatyczny wyrwał się z jej piersi. Postąpiła o krok, pociemniało jej w oczach, i byłaby upadła, gdyby ją nie był objął ramieniem.

— Bettino, moja biedna Bettino — szepnął łagodnie ze łzami w oczach, patrząc na jej woskowobladą twarz.

Podniosła nań oczy pełne niedowierzania i przejmującym szeptem spytała:

— Frycu... ty do mnie?

— Tak, Bettino. Zapomnijmy o tym co było, jak zrobiłem. Moja biedna, biedna siostro, co się stało z tobą?

Szybko pochwyciła jego rękę i zanim ją mógł cofnąć, wycisnęła na niej gorący pocałunek.

— Przynosisz mi przebaczenie, bracie? — spytała, a w oczach jej zamigotał promyk nadziei.

— Tak, Bettino. Zapomnijmy o tem co było, jak o przykrym śnie. Ciężko odpokutowałaś chwilowy swój obłęd. Usiadł obok niej i przytulał ją do siebie. Po twarzy Bettiny spływały łzy, łzy ulgi i ukojenia.

— Nie płacz, Bettino — uspakajał ją łagodnie. — Przywożę ci pozdrowienie od Bernarda, który ciężko trapi się o ciebie. Widzę teraz, że ma rację, zawód ten jest ponad twoje siły. Musisz go porzucić.

— Nie, kochany. Zajęcie to jest dla mnie jedyną ostoją w życiu. Złamało mnie co innego. Ale teraz, gdy ty mi wybaczyłeś, będzie mi już lżej.

— Musisz mi jednak przyrzec, że nie będziesz się zadręczać dłużej i nie będziesz pracować nad miarę.

Blady uśmiech rozświetlił jej twarz.

— Dobrze, przyrzekam ci, że pozwolę sobie teraz na trochę wypoczynku. A przede wszystkim czuję, że twoje przebaczenie przywróci mi sen spokojny, którego nie zaznałam od owej okropnej nocy.

Głaskał ją po rękach, szepcąc: Moja biedna, biedna siostro!

— Och, gdybyś wiedział, jakim balsamem są dla mnie twoje słowa. Dzięki, dzięki! A teraz powiedz mi coś o sobie i o swojej rodzinie. Bernard musi mi ciągle opowiadać o wszystkim, co was dotyczy. Wiem, że fabryka kwitnie jak nigdy, że macie dwoje ślicznych zdrowych dzieci. Nie mogłam go jednak zapytać o to, co najbardziej mnie dręczy: Czy Maria wie, co wygnało mnie z twego domu?

— Nie, Bettino. Wszak powiedziałem ci, że pozostanie to między mną i tobą. Maria domyśla się, że zaszło między nami coś przykrego, lecz nigdy o to nie pyta, bo wie, że zadałaby mi ból.

— Niech wam Bóg użyczy trwałego szczęścia! — gorąco rzekła Bettina. — A... mały Walter? Modlę się o jego zdrowie i szczęście goręcej niż o losy własnego syna — dodała drżącym głosem.

Całą godzinę rodzeństwo spędziło z sobą jak za dawnych dni, a przy rozstaniu Fryc przyrzekł, że od czasu do czasu będzie ją odwiedzał. Był już w progu, gdy cichym trwożnym głosem zawołała go po imieniu.

Odwrócił się i spojrzał na nią pytająco. Blada jej twarz okryła się łuną rumieńca, a ręce zaciskały się kurczowo.

— Bettino, czy sobie czego życzysz?

Po widocznej walce z sobą szepnęła:

— Mam do ciebie wielką prośbę. Nie... nie... Wiem, że mi jej nie spełnisz... I tak już okazałeś się tak niewysłowienie dobrym dla mnie...

— Wypowiedz tą prośbę, Bettino — zachęcał ją łagodnie.

Wpiła się weń błagalnym spojrzeniem.

— Ach, gdybyś mi pozwolił... jeden jedyny raz... choćby z daleka zobaczyć twoje dzieci... Życie bym dała za jedną taką chwilę — wykrztusiła.

Do głębi wzruszony ujął ją za ręce.

— Dobrze, Bettino, spełnię twoje życzenie. Podczas wakacyj przywiozę ci Waltera i Helenkę. A teraz uspokój się i pamiętaj, że przyrzekłaś mi dbać trochę o siebie.

Po odejściu brata Bettina wróciła do swego pokoiku. Twarz jej promieniała takim błogim spokojem, że dwie młode siostry patrzyły na nią w zdumieniu, a jedna z nich rzekła:

— Siostra Bettina wygląda dziś jak wniebowzięta.

Już najbliższej niedzieli Bernard zauważył z radością, że matka wygląda znacznie lepiej i jest bardziej ożywiona niż w ciągu całych ostatnich lat. Jemu również przyrzykła, że odtąd będzie więcej dbać o swoje zdrowie.

Pozbywszy się niepokoju o stan matki, Bernard wracał do domu w usposobieniu najpogodniejszym. Od stacji ruszył pieszo, polnymi ścieżkami zmierzając ku laskowi.

Myśl jego bawiła przy Ewie. Tak gorąco pragnął jej wreszcie powiedzieć o czym — tego był pewny — wiedziała bez jego słów i usłyszeć upragnioną odpowiedź, której również zdawał się być pewny. Nie miał też wątpliwości, że Wendenburg nie odmówi mu swej wychowanki, gdyż nieraz dawał mu dowody swego uznania i sympatii.

Jedno go tylko dręczyło. Od tygodni szukał sposobności oświadczenia się ukochanej dziewczynie, ale nigdy nie mógł zostać z nią ani na jedną chwilę bez świadków. Widocznie go unikała. Czyżby się obawiała ostatecznej decyzji? A może żal jej, Gabrieli, tak wyraźnie okazującej mu swoje uczucia?

Pogrążony w myślach szedł przed siebie laskiem, graniczącym bezpośrednio z parkiem, i oto dobiegły go głosy znajome. Przystanął za grupą drzew i tuż w pobliżu zobaczył Ewę i Gabrielę. Siedziały na wygodnych fotelach ogrodowych, zajęte rozmową. Idąc za impulsem chwili, Bernard cofnął się za krzewy. Przed zachodem słońca Gabriela, skłonna do przeziębień, odejdzie do domu. Jeśli przypadek będzie nań łaskawy, to Ewa z pewnością zostanie w ogrodzie i będzie miał sposobność rozmówienia się z nią swobodnie.

Było mu przykro, że mimo woli musi słyszeć rozmowę panien, ale tego już uniknąć nie mógł.

— Gerold powinien wrócić lada chwila, nieprawdaż? — usłyszał głos Gabrieli.

— Jeśli wróci zwykłym pociągiem. Ale nie jest też wykluczone, że matka zatrzyma go dłużej. Ale ty, maleńka, musisz już pójść do domu. Zaczyna się chłód wieczorny. Biegnij szybko, ja zabiorę nasze koszyczki z przyborami i przyjdę także. Jeśli Gerold wróci, będzie głodny po podróży i spacerze. Przebierz się teraz do kolacji.

Gabriela wstała, zabierając się do odejścia, a Ewa otuliła ją troskliwie ciepłym szalem. Dla Bernarda nadeszła chwila upragniona. Czekał jeszcze chwileczkę, aż Gabriela znikła mu z przed oczu, po czym wysunął się z za krzewów. Zanim jednak doszedł do Ewy, od strony parku zdążał ku niej Wendenburg. Obaj zbliżyli się równocześnie. Z trudem zdołał Bernard ukryć swe rozdrażnienie, gdy we troje wracali teraz do willi. Wendenburg spojrzał nań badawczo i zapytał tonem współczującym:

— Mam nadzieję, że zastał pan matkę mniej zmęczoną niż w ostatnich czasach.

— Dziękuję, istotnie lepiej się czuje obecnie.

— Zdawało mi się, że pan coś zasępiony.

Bernard zaczerwienił się pod bystrym spojrzeniem Wendenburga, lecz odpowiedzi zaoszczędziła mu Gabriela, która zobaczywszy nadchodzących, wybiegła ku nim uszczęśliwiona.

— Gabi, nasz gość jest dziś w kwaśnym humorze, musisz go rozruszać — zwrócił się Wendenburg do córki.

— Och, panie radco, bardzo mi przykro, że dałem powód do takich przypuszczeń — tłumaczył się Bernard.

Gabriela obrzuciła go figlarnym spojrzeniem.

— Niech-no się pan przyzna, co panu dolega. Może pan ma wielkie długi? Ewo, powiedz, czym rozproszyć zły humor pana Gerolda — świegotała.

Ewa rzuciła nań pytające spojrzenie i przeraziła się bolesnem zniecierpliwieniem, jakie wyczytała w jego oczach.

— Czyż nie czujesz, że szukam ciebie, że pragnę z tobą pomówić, że męczy mnie i trawi tęsknota niewysłowiona? — mówiły jego oczy, a ona rozumiała tę ich niemą wymowę.

Mimo najlepszej woli nie mógł się zdobyć na zwykłą swobodę, a to jego usposobienie udzieliło się towarzystwu. Po kolacji Gabi wybiegła po coś do swego pokoju, a równocześnie wezwano do telefonu Wendenburga. Bernard nie tracąc ani sekundy, zwłaszcza, że tamci mogli wrócić lada chwilę, ujął rękę Ewy i gorączkowo wyrzucił:

— Pani, droga pani.. ja nie przetrzymam dłużej tego stanu... Proszę mi wybaczyć... nie mogę milczeć... Błagam o chwilkę rozmowy... Niech się pani ulituje nade mną... Proszę, proszę gorąco... kiedy i gdzie mógłbym z panią pomówić bez świadków?

Zbliżył twarz tuż do jej twarzy. Oczy jego wświeciły się w jej oczy i trzymały je na uwięzi. Czuła się bezsilną wobec magnetyzującej siły jego spojrzenia i cała zapłoniona, nie mogąc ukryć wzruszenia, odwzajemniała gorący uścisk jego ręki. Tak trwali obok siebie, zapomniawszy o całym świecie.

— Ewo, moja najdroższa, ubóstwiana — szeptał w namiętnym upojeniu.

Drgnęła, jakby zbudzona ze snu błogiego, a oczy jej trwożnie pobiegły ku drzwiom

— Cicho, na miłość Boga — szepnęła błagalnie.

— Kiedy i gdzie? — nalegał. — Ewo, najdroższa moja, odpowiedz. Słyszę ich kroki.

Cofnęła się szybko.

— Zastanowię się.... Jutro panu powiem — szepnęła, bezprzytomna z szczęścia i trwogi.

— Dzięki, o dzięki, ukochana!

W tej chwi'i wszedł Wendenburg.

Nikt nie miał już powodu uskarżać się na zły humor Bernarda. Wesół był i ożywiony jak nigdy, a oczy jego promieniały.

Ewa natomiast uczuła coraz większe zgnębienie. Wiedziała, że zbliża się chwila decydująca, a serce jej toczyło znów srogą walkę, wahając się między miłością a obowiązkiem wdzięczności. Przyrzekła Bernardowi chwilkę rozmowy i wiedziała, że się jej oświadczy. A jakkolwiek serce jej wyło się z rozpaczy, wiedziała że mu odmówi. Czym jednak umotywuje odmowę i czy zdobędzie się na nią pod jego władczym spojrzeniem? Co mu powie? Że go nie kocha? W to nie uwierzy, bo nazbyt dobrze czyta w jej duszy. Nie pozostaje jej nic innego, jak powiedzieć mu prawdę, dlaczego nie może spełnić jego pragnień i być szczęśliwą u jego boku.

Tak czworo tych ludzi siedziało naprzeciw siebie, a rozmawiając, każde z nich podświadomie myślało o czym innym. Delikatna, jasnowłosa Gabriela, siedząc obok Bernarda, rozkochanym spojrzeniem wpatrywała się w niego. Obok Ewy zajął miejsce Wendenburg, z trudem trzymający na wodzy swe uczucia. Z palącą niecierpliwością czekał, by Bernard oświadczył się wreszcie o Gabi i usunął ostatnią przeszkodę, zagradzającą jemu drogę do szczęścia. Wydawało mu się męką nie do zniesienia, że musi tłumić w sobie tę szaloną miłość aż do chwili zaręczyn Gabrieli. Tak, młodzi ludzie mają dość czasu, ale dla niego każda godzina oznaczała stratę niepowetowaną.

Także dla Ewy będzie lepiej, gdy rychło dowie się o czekającej ją zmianie losu. Tak, przy pierwszej sposobności poprosi ją o rękę, a Gabi, sama szczęśliwa, musi się pogodzić z faktem niezbyt może dla niej pożądanym. I możliwie najrychlej weźmie ślub z Ewą, chociażby dlatego, że mieszka u niego. Nie wypada, by żyła obok niego jako narzeczona, a Ewa nie ma żadnych krewnych, gdzie mogłaby znaleźć przyjęcie. W Berlinie żyje wprawdzie rodzona jej matka, ale nigdy nie zgodziłby się na zbliżenie Ewy do tej kobiety. Ostatnio zwracała się do niego, żebrząc o pomoc, gdyż straciła engagement w jakimś teatrzyku przedmiejskim. Posłał jej kilkaset marek pod warunkiem, by nie próbowała nawiązać jakiegokolwiek stosunku z córką.

A dziwnym trafem Ewa w ostatnich czasach parę razy pytała go o matkę. Powiedział jej, że jest aktorką w Berlinie i prosił, by spełniła ostatnie życzenie jej ojca i nie myślała o kobiecie, która złamała mu życie.

Przy pożegnaniu Bernard dłużej zatrzymał jej rękę w swojej, wycisnąwszy na niej gorący pocałunek i szepnął: do jutra.

„Do jutra“ — powtarzała sobie w duszy raz po raz, szarpana pragnieniem szczęścia i lękiem, że jednak przyjdzie jej złożyć z niego ofiarę.

Postanowiła rozmówić się z Bernardem pojutrze po południu. Po obiedzie wuj Wendenburg wypoczywał godzinkę w swym pokoju, a Gabi również musiała po obiedzie werandować. Wtedy wyjdzie niespostrzeżenie i powie Bernardowi całą prawdę.

Myśl jej nie sięgała dalej — powzięte postanowienie jak ołów ciążyło na jej duszy. Jak on przyjmie tę jej decyzję?

* * *

Nazajutrz wieczorem Wendenburg znów przyszedł do domu w towarzystwie Bernarda, którego Gabriela zaprosiła od razu do partii tenisa. Nie mógł się wymówić, mimo, że z największą niecierpliwością wyczekiwał chwili swobodnej, by usłyszeć od Ewy, gdzie i kiedy mają się spotkać.

Ewa tymczasem układała kwiaty, mające przyozdobić stół już nakryty do obiadu. Kończyła właśnie to zajęcie, gdy cicho wszedł Wendenburg i stanął za nią.

— Wszystko w porządku, kochana gosposiu? — zapytał dziwnie stłumionym głosem, obejmując ją znienacka.

Drgnęła przerażona, poczem spokojnie złożyła głowę na jego piersi, zobaczywszy, że to wuj.

— Ależ mnie wuj przestraszył — rzekła z bladym uśmiechem. — Nie słyszałam kroków.

Stał bez ruchu, czując ją tuż przy sobie. Po paru sekundach podniosła głowę i rzekła:

— Wuju, możemy zasiąść do obiadu. Wszystko gotowe.

— Nic spiesznego. Przyszła młoda para, doskonale bawi się tenisem. Drgnęła, a serce zamarło w niej na chwilę. Jeszcze nigdy wuj nie powiedział tak wyraźnie, że uważa Gerolda za swego przyszłego zięcia.

— Więc czekajmy — wyjąkała z trudem.

Pociągnął ją do sąsiedniego pokoju.

— Ewuniu, siadaj przy mnie. Pragnę omówić z tobą coś bardzo ważnego.

Mówił na pozór spokojnie, jakkolwiek krew szalonym rytmem huczała mu w skroniach.

— Co mi wuj chce powiedzieć? — zapytała roztargniona, nasłuchując na głosy grających w tenisa.

Wendenburg oddychał ciężko. Postanowił wypowiedzieć się spokojnie, by jej nie zaskoczyć, lecz stopniowo unosiła go namiętność.

— Ewuniu, od lat jesteś w tym domu właściwą gospodynią i rozpieszczasz mnie swą pieczą i staraniem.

— Ocho, co do rozpieszczenia, to wuj z pewnością bardziej rozpieścił mnie. W jaki zresztą inny sposób mogę okazać swoją wdzięczność?

— Nie mów o wdzięczności. Obdarz mnie swą miłością, na której zależy mi stokroć więcej.

Zaprzątnięta własnymi myślami nie domyślała się o jaką miłość mu chodzi, i nie zauważyła też jego podniecenia.

Ujęła go za rękę i ściskając ją, rzekła serdecznie:

— Wujaszku, przecież cię kocham bardziej niż może przypuszczasz.

Fałszywie zrozumiał to jej wyznanie i nie panując dłużej nad szalejącą w nim burzą namiętności, pochwycił ją w ramiona.

— Ewuniu najdroższa, ja tu czekałem, przeczuwałem, że kochasz mnie więcej, niż się kocha wuja. A ja kocham cię całą duszą i będę cię ubóstwiał jako moją żonę, ty cudna, ukochana. Walczyłem długo z tym mojem uczuciem, ze względu na mój wiek, ale wierzaj mi, że kocham cię płomienniej niż mógłby cię kochać niejeden młodzik.

Ewunia skamieniała z przerażenia. Bezwolna, jakby sparaliżowana spoczywała w jego objęciach nie mogąc się opamiętać. To niespodziane wyznanie ogłuszyło ją, znieruchomiło. Wuj, którego kochała jak wdzięczna córka, pragnie ją za żonę? Czy to straszna zmora dręczyła ją w śnie okropnym. Czerwona mgła przesłoniła jej oczy. Chciała krzyczeć z rozpaczy i przerażenia, lecz z zaschniętego gardła nie wydarł się żaden dźwięk.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

19)

Niebezpieczny Gość

Powieść

W trójkę podążyli do biblioteki. Pan Krański otworzył kluczem drzwi i rozwarł je naoścież. Przystanęli na progu. Oczy młodego dziennikarza na równi z oczyma oficera policji przesuwały się po pokoju, obejmując kolejno każdy sprzęt, każdy najdrobniejszy przedmiot, dłużej spoczywając na otwartym oknie z rozbitą szybą, przewróconym krześle i plamie zakrzepłej krwi na podłodze...

— Tu właśnie leżała moja biedna córka, kiedy ją znaleźliśmy — objaśnił drżącym głosem pan Krański. — Była nieprzytomna.

— Czy kto wchodził do tego pokoju? — spytał aspirant.

— Wszyscy wchodzili.

— Jakto, wszyscy?...

— No, tak. Ja, moja siostrzenica, pan Doniecki, pan Tulczyński, potem służba...

— Co za nierozwaga!

Policjant podszedł do okna. Przez chwilę badał uważnie płytę okienną, potem wychylił się nazewnątrz. Zakiął półgłosem. Ziemia pod oknem była zrównana i ugładzona. Zbrodniarz wyskakując oknem, nie stracił głowy. Zatarł ślady swych stóp. Aspirant Gromowski obejrzał jeszcze stłuczoną szybę.

— Rozbita uderzeniem pięści — stwierdził głośno.

Do pokoju wszedł starszy posterunkowy Janik.

— Bądźcie łaskawi zamknąć drzwi, panie Janik — rzekł aspirant, odchodząc od okna. — No, co tam?

— Załatwione, panie komisarzu — zaraportował policjant. — Z domowników brak jedynie jednej osoby, która...

— Wiem... już wiem.

Aspirant podszedł do biurka. Obejrzał stojącą tam, zadymioną lampę. Brak w lampie nafty wskazywał, że musiała sama zgasnąć. Pochylił się następnie nad otwartą książką, ale zerknąwszy na bok, wyprostował się prędko.

— A tam co? — mruknął, wskazując na podłogę.

Młodszy rangą policjant podbiegł i podjął z podłogi przedmiot, który wywołał zdziwienie jego zwierzchnika.

— To... kapelusz, panie komisarzu. Męski kapelusz.

Oficer policji zmarszczył brwi.

Więc jednak przestępca musiał być bardzo zdenerwowany. Uciekając w pospiechu, zostawił swój kapelusz. Dziwne tylko, że pamiętał o zatarciu śladów swych stóp, a zapomniał o kapeluszu...

Skupił myśli

Czyżby...?

Rozejrzał się po twarzach obecnych. Młody dziennikarz, obejrzawszy pobieżnie kapelusz, myślał o czymś ze zmarszczonymi brwiami, a pan Krański?... Ten był więcej ciekawy. Dłużej oglądał kapelusz, obracając go na wszystkie strony. Naraz drgnął.

Aspirant to zauważył.

— Czy to pański kapelusz? — spytał.

— Nie, nie — zaprzeczył pan Krański. — Coś mi się tylko zdaje, że widziałem go u kogoś... Acha! Taki sam kapelusz posiada mój lokaj...

— Franciszek Leśniczak?

— Tak.

— Stwierdzi się później — rzucił aspirant pytająco nań spoglądającemu podwładnemu policjantowi.

Kazimierz słuchał uważnie i wszystko bacznie obserwował. Dojrzał też pomiędzy biurkiem, a ścianą leżącą chusteczkę. Podniósł ją skwapliwie. Była to mała zwykła batystowa chusteczka, a w rogu jej wyszyty był monogram. Dwie maleńkie literki. „A. R."! Dziennikarz drgnął. Wpatrzył się w literki, jakby nie dowierzając własnym oczom. Starał się zapanować nad ogarniającym go, wzruszeniem.

Podał chusteczkę aspirantowi.

— Leżała na podłodze — objaśnił.

Aspirant popatrzył na dziennikarza. Ale Kazimierz unikając jego badawczego spojrzenia, zajął się gorliwie przeglądaniem pokoju. Zbadał ściany, i zaczął uważnie oglądać drzwi. Wzrok jego padł nagle na maleńki otwór, w którym tkwiło coś czarnego. Twarz mu się rozjaśniła. Dobył scyzoryka i przy jego pomocy wyjął z otworu pociski rewolwerowe... Tym pociskiem została raniona panna Krańska! Kula przeszyła na wylot i utkwiła do połowy w drzwiach. — Kazimierz obejrzał ją dokładnie, poczym ukradkiem wsunął do kieszeni. Odwrócił się i zmierzył oczyma odległość dzielącą drzwi od biurka.

— I co? — spytał go aspirant.

— Właśnie usiłuję odtworzyć w wyobraźni przebieg całej tragedii, panie aspirancie — objaśnił Kazimierz.

— Pan?...

— Ja!

— Bardzo... bardzom ciekawy... — drwiąca nuta brzmiała w głosie oficera policji.

— Chce pan wiedzieć? — zawołał nieco urażony dziennikarz. — Dobrze. Przedstawię panu. Było zapewne tak: Panna Krańska siedzi przy biurku i czyta. Książka jest ciekawa. Wybiła północ, a ona ciągle czyta. Zbrodniarz czai się pod oknem, obserwując. W pewnym momencie wytłacza szybę, błyskawicznie otwiera okno i wskakuje do pokoju. Panna Krańska rzuca książkę. Z przerażenia nie może krzyczeć. Poznaje jednak niespodziewanego gościa. Wywiązuje się między nimi krótka rozmowa. Osobnik jest rozłoszczony. Poczyna napierać na dziewczynę. Ta cofa się za biurko. Napastnik chwyta ją i, broniącą się, przyparł do ściany. Dziewczyna zaczynała wołać o pomoc...

— Z czego to pan wnosi?

— Batystowa chusteczka leżała między biurkiem, a ścianą. Z tego wnoszę, że panna Krańska musiała cofnąć się za biurko, do ściany. A pocóż napastnik wyciągałby chusteczkę, jeśli nie po to, aby zatkać nią usta, wołającej o pomoc, dziewczyny?

— No tak. A dalej?

— Dalej już akcja potoczyła się błyskawicznie. Panna Krańska broniła się rozpaczliwie. Wówczas napastnik zagroził jej rewolwerem. Przerażona dziewczyna rzuca się do ucieczki, przewracając krzesło; zanim jednak dobiegła do drzwi, padł strzał. Dziewczyna słania się... pada. Zbrodniarz chwilę stoi oszołomiony. Jest przerażony. Przekonany jest, że zabił dziewczynę. I nagle ucieka oknem, pozostawiając kapelusz i chusteczkę.

Pan Krański z podziwem spogląda na młodego dziennikarza. Milczy wzruszony.

— Nieźle to pan wykombinował — pochwalił aspirant. — Wcale tego... Ma pan rozmach, panie Szperacki... Więc pan twierdzi, że zbrodniarz w pospiechu zapomniał o kapeluszu i chusteczce?

— O chusteczce, być może, ale wykluczone, żeby zapomniał o kapeluszu. Gdyby nawet zapomniał, to by na pewno później wrócił po niego.

— Więc?...

— Zostawił go celowo!

— Pan sądzi?... Zatem to nie jego kapelusz?

— Nie wiem na pewno, ale sądzę, że to jest kapelusz Franciszka Leśniczaka.

— Więc lokaj...?

Kazimierz wzruszył ramionami.

— Za śmiały wniosek — mruknął.

Aspirant przeszedł się po pokoju. Wydawał się być wzburzony.

— Podsunął mi pan pewną myśl — rzekł po małem zastanowieniu. — Mianowicie sądzę, że zbrodniarz nie może być daleko. Raczej należy go szukać na miejscu, w willi...

— To już rzecz panów, panie aspirancie.

— Wiem... wiem... Panie Janik, przygotuje pan notatnik. Przesłuchamy teraz domowników... Pan może zostać — zwrócił się do Kazimierza. — A pana, panie Krański, nie zatrzymuję dłużej. Może pan już iść i czuwać nad swą ranną córką. Jaka szkoda, że nie możemy jej przesłuchać...

— Tutaj w bibliotece, chce pan prowadzić przesłuchy? — zdziwił się pan Krański. — Może byłoby lepiej w moim gabinecie...

— Nie, panie Krański. Miejsce zbrodni działa zawsze na zbrodniarza. Tu też go najłatwiej zdemaskować. Pozostaniemy tutaj... Niech pan teraz przyśle do nas swoją siostrzenicę i pokojówkę — zawołał za odchodzącym.

Po odejściu pana Krańskiego aspirant niespokojnie przechadzał się po pokoju. Niecierpliwił się. Starszy posterunkowy Janik, przygotowawszy plik papierów i ołówek, zasiadł przy biurku. Był gotowy.

Kazimierz cofnął się do okna. Spokojnie czekał na przybycie Ireny Żalowskiej i pokojówki Melanii.

Nadeszły niebawem. Irena była spokojna i swobodna, Melania natomiast zastrachana, na widok marsowej twarzy aspiranta Gromowskiego.

Aspirant badawczym wzrokiem zmierzył młode dziewczyny, a potem zarzucił je pytaniami.

Melania jednak nic z goła nie wiedziała. W nocy spała twardo. Nie słyszała nic. O wszystkim dowiedziała się dopiero wczesnym rankiem od kuzynki panny Krańskiej.

Irena wiedziała dużo. Opowiadała też żywo: Jankę od pewnego czasu ktoś prześladował. Szpiegował ją, pisywał oszczercze anonimy. Jeden taki anonim otrzymał pan Krański, drugi Zdzisław Doniecki. Podobno Tulczyński też otrzymał anonimowy list... Dzisiejszej nocy razem z kuzynką poszły do sypialni, Janka jednak wróciła jeszcze do biblioteki. W nocy słyszała strzał...

— O której godzinie strzelono? — przerwał jej aspirant.

— Mogła być północ. Może parę minut po północy.

— Czy nikt nie wstał na odgłos strzału?

— Wstał jedynie wujek. Wyjrzał oknem, jednak nic podejrzanego nie zobaczył. Mówił potem, iż myślał, że strzelano nad jeziorem...

Aspirant wejrzał dziewczynie w oczy.

— Pani kocha swoją kuzynkę? — spytał.

— Jak siostrę rodzoną — odparła zdziwiona.

— Czy kuzynka kiedy zwierzała się pani?

— Z czego mianowicie?

— No wogóle... Musiała mieć w swym życiu różne przygody.

— Janka nie miała przede mną żadnych tajemnic.

—Czy był ktoś, co mógł mieć do niej jakiś żal? badał dalej policjant, sugestionując wzrokiem dziewczynę. — Może odpalony adorator, któremu rozpacz podała broń do ręki. Według pani, kto mógł być zamachowcem?....

— Nie wiem, choć myślałam o tem dużo. Zresztą nie ma konkretnych dowodów i nie mogę... nie mam prawa lekkomyślnie rzucać podejrzeń. Sądzę jednak, że to musiał być ktoś znany... może nawet ktoś z willi „Aurory“...

Policjantowi zabłysły oczy.

— Dziękuję pani. Wystarczy tymczasem. Mogą panie odejść.

Dziewczyny wyszły, omijając plamę zakrzepłej krwi na podłodze.

Aspirant podszedł do Kazimierza.

— Słyszałeś pan, panie prawniku? — wyrzekł, zacierając ręce.

— Słyszałem — odparł obojętnie dziennikarz.

— I co?

— Ma pan wskaźnik w jakim kierunku prowadzić dalsze śledztwo, panie aspirancie.

— Więc i pan twierdzi...?

— Nic jeszcze nie twierdzę — przerwał Kazimierz.

Oficer policji wejrzał mu w oczy.

— Pan nie chce zdradzić swych myśli — rzekł. — Słusznie pan czyni. Ale i ja wiem, jak dalej postępować... Panie Janik! Poproście tutaj panów Tulczyńskiego i Donieckiego. Albo nie! Lepiej żadnego... najprzód Tulczyńskiego.

— Rozkaz, panie komisarzu!

— Tylko prędko, panie Janik. No, wiecie... piorunem!

Policjant widział, że jego zwierzchnik poczyna się niecierpliwić. Uwinął się też rzeczywiście piorunem. Aspirant Gromowski zdążył przejrzeć zaledwie część protokółu policyjnego, gdy jego podwładny powrócił z Tulczyńskim.

Literat błyskawicznym spojrzeniem objął cały pokój; wzrok jego spoczął na moment na widniejącej na podłodze, dużej plamie zakrzepłej krwi. Ujrzawszy Kazimierza Szperackiego, jakby drgnął i skinął mu głową, nie ukrywając zdziwienia. Szybko podszedł do przeglądającego protokół, aspiranta.

— Pan mnie kazał przywołać? — spytał.

Oficer policji uniósł głowę i zmierzył go badawczo. Literat zrobił na nim dodatnie wrażenie.

— Pan literat Tulczyński? Ach, tak. Posłałem po pana . Prowadzimy śledztwo w związku z usiłowanem zabójstwem panny Krańskiej i wybaczy pan, że musieliśmy go trudzić...

— Czem mogę szanownej policji służyć?

— Oczywiście nie chodzi nam w tej chwili o szczegóły dotyczące pańskiej osoby, panie Tulczyński, gdyż takowe, jak również i szczegóły dotyczące osoby pana Donieckiego, znam od pana Krańskiego. Natomiast nam chodzi o szczegóły, które mogłyby przyczynić się do ustalenia okoliczności nocnej zbrodni, oraz do ujawnienia sprawy.

— Niestety, panowie. Sprawa jest bardzo zagadkowa. Ja nie wiem nic konkretnego.

— Pan zamieszkuje w willi „Aurorze“, czy nie słyszał pan w nocy strzałów?

— Owszem. Słyszałem.

— Ile razy strzelono?

— Nie wiem dokładnie. Ja słyszałem tylko jeden strzał. Byłem już w łóżku, ale nie spałem jeszcze. To też wstałem niezwłocznie i przez kilkanaście minut wyglądałem oknem.

— I nie zauważył pan nic podejrzanego?

— Nie, a raczej...

— No?...

Tulczyński się zawahał.

— Nie chcę nikogo posądzać, ani oskarżać — broń Boże! — rzekł. — I sądzę, że on ze sprawą zbrodni napewno nie ma nic wspólnego...

— Co za „on“?

— Lokaj państwa Krańskich.

— Franciszek Leśniczak?

— Tak, on... Mogła być godzina pierwsza w nocy, gdy ujrzałem skradającego się do willi jakiegoś człowieka. Księżyc wychylił się właśnie z poza chmur i wtedy ze zdumieniem poznałem lokaja...

Przez parę minut w pokoju panowała głęboka cisza.

— Czy nie myli się pan przypadkiem, panie Tulczyński? — zapytał wreszcie aspirant. — Mógł to być ktoś inny, podobny...

— Wykluczone. Znam lokaja dobrze.

— Kto więc mógł dokonać zamachu na życie panny Krańskiej?

— Panie aspirancie. Sprawa za poważna, aby nierozważnie rzucać podejrzenia. A pozory często mylą. Panna Krańska miała jakiegoś wroga, który ją prześladował, pisał anonimy...

— Wiem... wiem — aspirant niecierpliwie machnął ręką. — Do krocset! Czy nikt nie widział tego osobnika?

— Panna Krańska go widziała i prawdopodobnie pan Doniecki...

Zapukano do drzwi.

Na progu ukazał się Zdzisław. Był blady i wyglądał przemęczony.

— Pan Doniecki? — głos aspiranta Gromowskiego drżał lekko. — Proszę bliżej. Właśnie w tej chwili pana potrzebujemy.

Zdzisław wszedł. Wejrzał przelotnie na plamę krwi, poczem podszedł do aspiranta.

— Mówiono mi — rzekł tenże — że pan widział tego... no, tego wroga, tego co napisał anonimowe listy i prześladował pannę Krańską... Czy pan nie poznał w nim kogo?

— Nie — odparł z wahaniem Zdzisław.

— A może był do kogo podobny?

— Podobny? Tak. Nawet bardzo podobny.

— Do Franciszka Leśniczaka?

— Do niego — potwierdził Zdzisław przytłumionym głosem.

— Czy mógł to być lokaj?

— Nie wiem.

— Pan jest przyjacielem panny Krańskiej? — badał dalej aspirant.

Zdzisław wejrzał mu prosto w oczy.

— To moja narzeczona — wyrzekł z naciskiem.

— Pańska narzeczona?... Hm! Można zapytać od jak dawna?

— Od blisko trzech tygodni. Zaręczyliśmy się w tajemnicy...

— A w jakich okolicznościach widział pan tego osobnika... no, pan wie?

Chmura przeszła przez twarz Zdzisława. Zacisnął pięści.

— Niespodziewanie naszedł moją narzeczoną i, korzystając z jej nieuwagi, pocałował ją w szyję. Nadszedłem właśnie na ten moment. Ujrzawszy mnie, uciekł w szalonym pośpiechu.

— Ach tak? A ile lat liczy panna Krańska? — spytał aspirant, notując coś na karteczce.

— Dwadzieścia.

— A lokaj?

— Zdaje się, że dwadzieścia trzy.

Aspirant powstał. Wyprostował swą dostojną postać.

— Dziękuję panu — rzekł nieomal serdecznie. — Tymczasem to wystarczy. Zwalniam pana. Pana również, panie Tulczyński. Proszę jednak nie oddalać się z willi. Ale... ale... Może panowie będą łaskawi powiedzieć panu Krańskiemu, żeby zaraz tu przyszedł — rzucił za odchodzącymi.

Przeszedł się nerwowo po pokoju. Przez chwilę myślał z natężeniem. Przelotnie zerknął na młodego dziennikarza, który stał zwrócony do okna, bębniąc palcami po szybie. Gromowski przystanął.

— Panie Janik!

— Słucham, panie komisarzu.

— Kończyć z pisaniem. Przeprowadzamy rewizję domową. Do pioruna! Będziemy mieli ptaszka.

Kazimierz odwrócił się od okna. Spojrzenie jego skrzyżowało się ze spojrzeniem oficera policji.

— Podejrzewa pan Leśniczaka?

— Podejrzewam Leśniczaka — odparł z naciskiem aspirant.

Przybiegł zdyszany pan Krański.

— Czy Leśniczak powrócił już z miasta? — spytał go aspirant.

— Nie jeszcze — odparł właściciel willi „Aurory". — Nie wiem, co się jemu stało. Naprawdę długo nie powraca.

— Panie Krański, teraz zaprowadzi pan nas do pokoju Franciszka Leśniczaka.

Na twarzy starszego człowieka odmalowało się zdziwienie i zarazem niepokój. Nie rzekł nic jednak.

W minutę później byli już w pokoju lokaja. Aspirant rozejrzał się dookoła. Był to schludny pokoik, którego umeblowanie stanowiło łóżko z zawieszonym nad nim obrazem, stół, dwa krzesła, umywalnia, oraz szafa do garderoby i bielizny.

— Zbadajcie najprzód zawartość szafy — rozkazał aspirant podwładnemu policjantowi. — Panie Krański — zwrócił się potem do zdumionego gospodarza. — Wybaczy pan, ale zmuszeni jesteśmy przeprowadzić szczegółową rewizję.

Pan Krański usiłował protestować.

— Ależ panowie — zawołał. — Czyba nieporozumienie. Znam swego lokaja dobrze...

— Zobaczymy! — rzucił twardo aspirant. — Sądowe zatwierdzenie rewizji otrzyma pan w ciągu 48 godzin. Tymczasem... panie Janik!...

Policjant był już przy szafie. Nie była na klucz zamknięta. Przejrzał dokładnie przegródki z bielizną, potem sprawnie przeszukał kieszenie ubrań.

— No i co? No, co? — niecierpliwie dopytywał się zwierzchnik.

— Nic podejrzanego, panie komisarzu.

— Niedołęga! Zobaczcie jeszcze na dole, na dnie — radził.

Policjant myszkował przez chwilę, potem wstał szybko, trzymając w ręku lśniący rewolwer.

Okrzyk zdziwienia wydarł się z ust pana Krańskiego.

— Jest naładowany — zaraportował policjant, obejrzawszy broń dokładnie. — Brak jedynie jednego naboju... Wystrzelony zaledwie przed paru godzinami — dodał podtykając sobie do nosa wylot lufy.

Kazimierz sięgnął do kieszeni.

— Czy ten? — podał pocisk.

— Ten sam — ucieszył się policjant. — Siedem milimetrowy!

— Przed chwilą znalazłem go tkwiącego w drzwiach w bibliotece — objaśnił Kazimierz.

Aspirant zbadał znaleziony w szafie rewolwer. W milczeniu przymierzył wystrzelony pocisk. Tak. Nie mogło być żadnej wątpliwości. Pocisk wyszedł z tego rewolweru.

— Oto najlepszy dowód jego winy — rzekł z tryumfem. — Z tego rewolweru strzelano do panny Krańskiej...

W ciszę pokoju padły następnie krótkie słowa rozkazu:

— Panie Janik! Zaaresztować niezwłocznie Franciszka Leśniczaka.

— Rozkaz panie komisarzu.

Oficer policji obejrzał się, szukając oczyma młodego dziennikarza. Ale Kazimierza już nie dostrzegł. Nie było go w pokoju. Napotkał jedynie przerażony wzrok pana Krańskiego...

Rozdział XIII.

KTO WINIEN?

Kazimierz nie czekał na koniec rewizji. Cicho wysunął się z pokoju Leśniczaka w chwili, kiedy policjant stwierdził, że znaleziony w bibliotece pocisk wyszedł z ukrytego w szafie rewolweru... Młody dziennikarz skierował się do ogrodu. Był wzburzony. A więc policja wykryła narzędzie usiłowanej zbrodni w pokoju przypuszczalnego sprawcy. A sprawcą tym był... Franciszek Leśniczak!...

Odkrycie to, zamiast ucieszyć młodego dziennikarza, przerażało go prawie. Było bowiem zniszczeniem jego nadziei, zawaleniem się mozolnie zbudowanego rusztowania, wystawionego przez jego imaginację...

Takiego wyniku śledztwa Kazimierz się nie spodziewał. W głębi duszy nie wierzył w winę lokaja.

— Ten chłopak ma być winien? — powtarzał w duchu, rozważając wszystkie „za" i „contra" ewentualnej winy lokaja.

Dokończenie nastąpi.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 14 lutego 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 10.40 Opera „Pajace" z płyt 12.03 Poranek muzyczny 14.00 Reportaż z życia 14.30 Zespół wokalny „Te 4" 15.00 Koncert w wykonaniu orkiestry wojskowej 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Kurant staroświecki z utworów Wł. Syrokomli 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 „Spotkanie Wyspiańskiego z Żeromskim — szkic lit. 19.20 Motywy hiszpańskie w muzyce francuskiej 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 Recital fortepianowy Bolesława Woytowicza 22.00 Rozrywkowy koncert wieczorny.

Poniedziałek, dnia 15 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert orkiestry wojskowej 15.15 Duet Pilis — Tabet i orkiestra Edith Lorand 15.55 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.30 Orkiestra Mandolinistów „Sempre Vivo" 17.00 Udział Polaków w odkryciach geograficznych" 17.15 Koncert solistów 17.50 Gdy śmierć odpoczęła — pogadanka 18.50 „Zjadło by się zjadło, gdyby z pieca spadło" — dialog 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Koncert popularny. 21.00 „Bunt Absolona" — fragment słuchowiskowy 21.30 Koncert w wyk. Ukraińskiego Chóru 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Orkiestry Harry Roy'a i Hanza Hupperza (płyty).

Wtorek, dnia 16 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Włodzimierz Horowitz i Yehudi Menuhin — płyty 15.15 Mała Orkiestra Polskiego Radia 16.30 Najnowsze piosenki filmowe (płyty) 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.50 Skrzynka zażaleń Nr. 2 — monolog M. Hemara 19.00 „Dyskutujmy": „Czy demokracja uszczęśliwia" 19.20 Koncert symfoniczny 22.30 Zima poetycka — kwadrans poezji 22.45 Muzyka z kawiarni „Całe Club".

Środa, dnia 17 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert rozrywkowy 15.15 Koncert rozrywkowy płyty 16.10 „Tomasz Alva Edison" — słuchow. dla dzieci 16.35 Koncert solistów 17.00 Sytuacja na Bałtyku w roku 1920 a dziś — odczyt 17.15 Z dziejów operetki" — reportaż muzyczny 19.20 „Schubert - Mendelssohn" (płyty) 19.55 Lekkie piosenki płyty 21.00 „Opowieści o Chopinie" — wieczór 10-ty 21.45 Wolfgang Amadeusz Mozart: Divertimento nr. 17 D-Dur 22.35 Mała Orkiestra Polskiego Radia.

Czwartek, dnia 18 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Trzy słynne orkiestry symfoniczne 15.15 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.20 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci 16.35 Śpiew na Narwi — obrazek muzyczny 17.15 Płyty dla znawców 19.00 Złowrogi portret — premiera słuchowiska 19.30 Na swojską nutę 21.00 Sylwetki kompozytorów polskich 22.00 Muzyka lekka 22.30 Koncert muzyki lekkiej.

Piątek, dnia 19 lutego 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert Małej Orkiestry P. R. 15.15 Paderewski i Kreisler jako kompozytorzy i wykonawcy 16.30 Głosy przyrody — koncert 17.00 Współczesna Portugalia — felieton 17.15 Recital fortepianowy Kazimierza Kranca 19.00 Kowalik skończył służbę — opowiadanie 19.20 Z pieśnią po kraju — audycja 19.45 Klarnet i saksofon — 7-ma pogadanka 20.10 Opera „Aida" Verdiego 23.00 Muzyka lekka.

Sobota, dnia 20 lipca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Miniatury instrumentalne 14.30 „Pocałujów" — słuchowisko dla dzieci 15.15 Najpiękniejsze głosy (płyty) 16.15 Koncert Orkiestry Wileńskiej 17.00 Koncert dawnej muzyki 19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 19.30 19.30 Wieczór przy mikrofonie 22.00 Recital śpiewaczy Halmi Einer 22.30 Mała Orkiestra Polskiego Radia.

H-U-MO-R

Z życia naszych milusińskich

— Co wy tam robicie? — pyta matka dzieci, które starają się usilnie uspokoić rozkrzyczane niemowlę.

— Karmimy Bobaska musztardą, aby przestał wreszcie płakać.

Mówca

Pan Gołąbek wstaje podczas uczty z okazji swych srebrnych godów małżeńskich i rozpoczyna przemówienie: — Chociaż jestem zupeł nie nieprzygotowany, eee.....

— Mów dalej — wtrąca głośno zachęcającym tonem jego żona — przecież dziś rano już tak dobrze umiałeś na pamięć...

Pierre Decourcelle i słońce

Albert Capellani nakręcał w roku 1913 pierwszą wersję „Nędzników" Wiktora Hugo pod kierownictwem literackim Piotra Decourcelle dla wytwórni Pathe.

Pewnego chmurnego dnia słońce nie ukazało się na niebie; artyści uszminkowani czekali.

Pierre Decourcelle ,znany ze swej ruchliwości, nerwowości i ognistego temperamentu, był spokojny, jak Etna przed wybuchem.

Nagle napada formalnie na szefa operatora:

— Więc panie, słońce?...

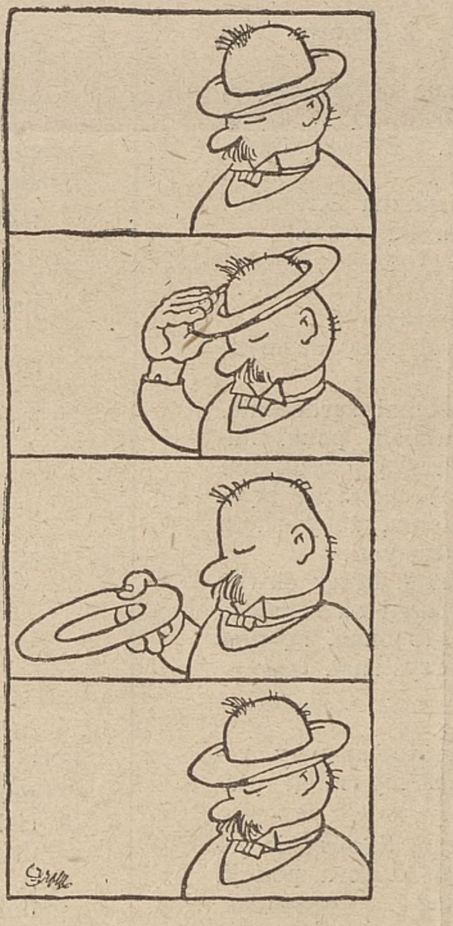
— ! ! !

— Dlaczego się nie pokazuje?

— Panie Decourcelle! To jest pytanie, na które jest mi bardzo trudno odpowiedzieć...

— Niech pan nie żartuje ,bo to jest poważna sprawa. Czy chociaż napewno się ukaże?

— Hm... niech... niech się go pan sam zapyta!...



Ekonomiczny kapelusz...

Dużo interesów

Umarł 12-letni żydek Mojsie Fajnfisz. Nad grobem rozpacza liczna rodzina. — Grabarz czeka na napiwek i niecierpliwi się. Matka chłopca wykrzykuje co chwila:

— Moniek, poproś Pana Boga, żeby tatuś wygrał dolarówkę!

— Moniek, poproś Pana Boga, żeby wujciu nie miał przykrości w sądzie!

— Moniek ,poproś Pana Boga, żeby Dolka nie wzięli do wojska i żeby dostał kategorię D!

Zniecierpliwiony grabarz przerywa te prośby i powiada:

— Proszę pani, jak się tyle interesów ma do Pana Boga, to idzie się samej, a nie posyła się dziecka.

Już nie kocha

— On mnie już nie kocha...

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Bo dawniej ,to mnie błagał o cały lok włosów, a teraz gniewa się, jak znajdzie jeden malutki mój włos w zupie!

Pewny znak

— Znowu wypadek samochodowy — opowiada lekarz swej żonie. Wprawdzie niema niebezpieczeństwa, ale ranny pasażer jest wciąż nieprzytomny. Biedak nie ma żadnych papierów przy sobie. Stwierdziliśmy jedynie, że jest żonatym..

— W jaki sposób?

— Ranny nie miał ani jednego guzika przy koszuli, a szelki miał przypięte szpilkami.

Odciął się

Do Jaracza, który przy ziewaniu otworzył bardzo szeroko usta, odzywa się konferujący z nim członek T. K. K. T.:

— Nie zjedz mnie pan przypadkiem!

— Cóż znowu — odpowiada artysta — nie jadam oślego mięsa!

W cukierni

Do cukierni wchodzi jakiś gość, siada przy stoliku i zamawia... gazetę.

Pikolak przynosi mu zamówione pismo. Po chwili podchodzi doń kelner:

— Co dla pana? — pyta uprzejmie.

— Narazie nic... Przyjdź pan później.

Kelner kłania się i odchodzi. Mija pół godziny. Gość ciągle siedzi przy pustym stole.

— Może pan teraz coś zamówi?... — zwraca się doń ponownie kelner...

Nie.....

— Pan wybaczy, ale u nas trzeba coś zamówić....

— Jaki pan jest niepraktyczny... — odpowiada gość — Co pan będzie z tego miał, jak ja zamówię szklankę herbaty, za którą przecie i tak nie zapłacę?!!

Nie zawsze „kto pierwszy ten lepszy"

P. Mariusz wraca z polowania i spotyka po drodze swego przyjaciela Poldkę, również zapalonego myśliwego.

— Hej, Poldke, coś dziś upolował?

— Dziś nic. A ty?

— Też nic. Ale wczoraj zato ubiłem wspaniałego zająca! Ho ho! Takiej sztuki jeszcześ nie widział. Dziesięć kilo żywej wagi!

Dziesięć kilo? To sporo. Prawie tyle, ile waży zając, którego upolowałem przedwczoraj.

— No, ile?

— Jedenaście kilo!

Mariusz drapie się z zakłopotaniem w głowę, po czym woła:

— A do diabła! Powinienem był ci dać mówić najpierw!

W sądzie

Sędzia do oskarżonego Kuby: Na mocy wyroku dostaniecie albo 10 dni kozy, albo 20 zł. Co wy na to?

Kuba kłaniając się nisko: Toć, kiedy już tak padło, dopraszam się łaski Prześwietnego Sądu ,to już wolę 20 zł i proszę ,niech mi je Prześw. Sąd zaraz wypłaci.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie